№ 39 Piątek, dnia 25 Czerwca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA dnia 13 (25) Czerwca 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
„ „ kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

WIANKI.

(Ballada.)

Nad brzegiem rzeki wiejska gromada
Tłumnie się jakoś zebrała,
Każdy coś śpiewa—każdy coś gada....
W szczerem weselu wieś cała.

* * *

Starcy na boku poważnie gwarzą
W bratnie zebrawszy się koło,
Za nimi dziatwa pod matek strażą
Igra i pląsa wesoło.

* * *

A na uboczu, chórem brzmią śpiewki
Tchnące radością, nadzieją;
Tam zgromadzeni chłopcy i dziewki
Drażnią się wzajem i śmieją.

* * *

A wszystko strojne jakby od święta,
Jakby od święta bogato,
Każdy snać dobrze o tem pamięta,
Że radość—chwilką skrzydlatą.

* * *

Hoże dziewoje siadłszy dokoła
Wstęgami wianki splatały,
Wiązały razem chaber i zioła,
Mak i powoju kwiat biały.

* * *

Lecz najpiękniejsza z całego sioła,
Niebieskooka Joasia
Wiła do wianka nietylko zioła,
Ale i róże od Jasia.

* * *

A jak to dziewczę w rówiennic gronie
Błyszczy jak róża przy maku,
Tak i jej wieniec rumieńcem płonie
Przy innych wiankach z modraku.

* * *

Nareszcie wszystkie kwiatki wpleciono,
I każda stroi się w wianek...
Ku rzece dziewic podąża grono...
Przy każdej spieszy kochanek.

* * *

A przy Joasi, co biegnie z boku,
Dwóch się aż chłopców uwija,
Ona, choć obu wciąż ma na oku,
Tylko jednemu z nich sprzyja.

* * *

Któregoż wyżej dziewczyna stawia —
Za którym patrzy kochankiem?
Serce za Jasiem szczerze przemawia,
Lecz ludzie mówią za Frankiem,

* * *

Więc się namyśleć dziewczę nie może
Choć niby rzeczy rozważa,
Bo Jaś—sierota, służy we dworze...
A Franek—syn gospodarza...

* * *

Nieraz już Jasio prośby zanosił,
Aby jednego wybrała,
Kiedy ją wczoraj o to poprosił,
Taką odpowiedź mu dała:

* * *

„Który z was jutro pochwyci wianek,
Kwiatki na falę rzucone...
Ten z woli nieba snać mój kochanek
I ten mnie pojmie za żonę."

* * *

Czekał Jaś jutra z nadzieją... z trwogą...
Tęsknił i marzył od wczora!
Nadeszła chwila — jemu tak błogo
Bo rzucać wianki już pora.

* * *

Dziewczęta rzędem nad brzegiem stają
Chłopcy za wiosła chwycili...
Już sine fale z kwieciem igrają....
Sto ramion ku nim się chyli.

* * *

I choć za każdym rzuconym kwiatkiem
Kilka czółenek pogoni,
To jednak wianek, dziwnym przypadkiem,
Dalej po gładkiej mknie toni,

* * *

I póty kreśli koła i węże
Po wód przejrzystych krynicy,
Póki go z chłopców ten nie dosięże
Który jest miłym dziewicy.

* * *

Słońce ku ziemi schyliło czoło,
Niknie za lasem daleko...
Nasza gromada jeszcze wesoło
Obchodzi *wianki* nad rzeką.

* * *

Lecz wkrótce cisza zalegnie wszędzie,
Każdy powróci do domu,
Bo rzucać komu wianków nie będzie,
Nie będzie ścigać ich komu.

* * *

Oto już tylko jedna dziewica
Z wieńcem nad wodę dłoń chyli...
Rzuciła — za nim jak błyskawica
Jasio i Franek skoczyli.

* * *

Patrzcie — już w czółnie podąża Franek...
Jaś wpław odważnie się rzucił...
Wrócił bez wianka jeden kochanek,
A drugi z wiankiem — — nie wrócił!

* * *

Spłakane dziewczę niosą do sioła...
Fale wciąż ściga oczyma:
,,Z nikim przed ołtarz nie pójdę!.."— woła...
Ale czy słowa dotrzyma?...

* * *

Księżyc, co wejdzie nad modrą tonią,
Zastąpi światła pogrzebu,
Piosnka, co rankiem ptaki wydzwonią
Wzleci za Jasiem ku Niebu!

—N—

KILKA SŁÓW
w kwestyi artykułów wstępnych.

Jednym z głównych obowiązków publicystyki jest wykazywanie chorób moralnych i umysłowych, które nurtują łono ogółu całego, lub pewnej jego warstwy. Biada społeczeństwu, które spoczywa w uśpieniu na laurach błogiego spokoju i zadowolenia, nieświadome ujemnych tętn życia własnego.

Prasa, jako głos opinii publicznej, winna być przewodniczką w rozbudzaniu tej samowiedzy, i w kierowaniu działalności ku naprawie ujemnych stron życia. Ona to, odkrywając rany społeczne, wskazuje odpowiednie leki i pomoc. Aczkolwiek interwencya jej nie zawsze ma doniosłe znaczenie, aczkolwiek często odezwy jej są głosem wołającego na puszczy, nie winno to jednakże zniechęcać śmiałych bojowników pióra. Zaiste, nad wyleczeniem jednej głęboko zakorzenionej choroby społecznej, długie lata, wieki nieraz całe mozolną składają pracę; lecz od pracy tej ciękiej, bezskutecznej napozór żadna z jednostek, stojących na świeczniku umysłowego życia, usunąć się nie ma prawa. Każdy najsłabszy choćby promyk zacnej myśli jest cząstką wielkiego światła, przyświecającego odradzającemu się społeczeństwu na drodze do oświaty i postępu. Gdyby zacichł głoś dzielnych pionierów, zamarłyby wraz z nim żywsze tętna życia i działalności.

Zadaniem bieżącego piśmiennictwa jest wykazywanie potrzeb ogólnych. Każde społeczeństwo na drodze życia i rozwoju, winno zdawać sobie należyty rachunek z potrzeb i dążności swoich. Biada mu, jeśli idzie na oślep! Na drodze jego stać winno światło, rozpromieniające ciemności i placówki, ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Społeczeństwo, które nie rozumie jasno potrzeb swoich, jest dzieckiem, któremu niańka musi przysuwać do ust pokarm, dzieckiem, niezdolnem do życia samoistnego.

Od pewnego czasu pojawiły się w piśmiennictwie naszem, tak zwane „artykuły wstępne“. Mają one za cel poruszać najżywotniejsze kwestye chwili obecnej, wykazywać najważniejsze potrzeby życia, odkrywać dodatnie i ujemne strony społecznego rozwoju. Słowem, jestto wieczny obrachunek, w którym zapisuje się wielkiemi literami zysk i deficyt w kasie dobra ogólnego.

Stosownie do tak ważnego znaczenia, artykuły wstępne winny podlegać prawdziwej pieczołowitości ze strony redakcyi i autorów, aby należycie spełniały zdanie swoje. W ostatnich czasach widzimy w tym względzie dosyć pocieszające objawy. Wszystkie prawie czasopisma podnoszą najważniejsze kwestje chwili obecnej, odkrywają niekiedy wewnętrze tętna życia społecznego, wykazując, co już zrobiono na drodze postępu, oświaty i umoralnienia, a co jeszcze zostaje zadaniem przyszłości.

Jednakże, przypatrzmy się bliżej tego rodzaju pracom, zobaczymy, że przybierają one niekiedy niewłaściwą formę. Niektórzy z autorów, wznosząc się na piedestał kaznodziejskiej surowości, sądzą, że nudnem moralizowaniem wpłyną na poprawę zepsutej ludzkości. Nie kazań, nie morałów, ale dowodów—faktów nam trzeba! Wykazując zakorzenione błędy, lub potrzeby życia, należy to czynić tak, aby rzecz sama przez się mówiła. A odkrywając złe, należy o ile można, wskazać zarazem praktyczne środki usunięcia takowego. Słowem, myśl winna tu wskazywać działalności społecznej odpowiednie drogi ku lepszemu.

Drugą ważniejszą jeszcze wadą, objawiającą się niekiedy w żywotności piśmiennictwa naszego, jest nieznajomość praw życia społecznego, potrzeb lub środków, możebnych do zastosowania. W skutek tego wyradza się masa niepraktycznych projektów.

— I cóż z tego!—odpowiecie może czytelnicy. — Każda myśl poczciwa, chociaż trudna i niemożliwa nawet do uskutecznienia, zasługuje na uznanie, bo chociaż nie doprowadzi do odpowiedniego rezultatu, obudza jednak żywsze zainteresowanie się sprawami ogółu, wykazuje braki, i jeżeli nie zaraz, to kiedyś w przyszłości do naprawy ich doprowadzi.

— Nie, łaskawi panowie! Niepraktyczna projektomania nietylko że nie przynosi społeczeństwu należytego pożytku, ale przeciwnie, wielką szkodę mu wyrządza. Przedewszystkiem, jeżeli myśl ogółu zajmuje zbyt wiele mniemanych reform, jeżeli naraz wiele myśli zapragnie urzeczywistnienia, to natenczas rozproszone w różne strony siły marnują się niekiedy bezużytecznie, zamiast skupić się należycie na arenie możebnej i prawdziwie doniosłej działalności.

Prócz tego, przyzwyczaja się do objawów nieużytecznej frazeologii, przyzwyczaja się do tolerowania produkcyi martwych myśli, błąkających się w krainie mrzonek i fantazyi dziennikarskiej. Traci przytem wiarę w możebność uskutecznienia najpraktyczniejszych nawet projektów. Słowem, widząc że go często kroć nadaremnie budzą z uśpienia, nie słyszy już wzywającej do czynu trąby dziennikarskiej, a jeżeli usłyszy, przetrze oczy, popatrzy błędnem okiem dokoła, i na nowo uśnie snem błogosławionych.

Gdybyśmy zechcieli poprzeć zdanie nasze faktami z życia zaczerpniętemi, mielibyśmy ich nie małą wiązkę. Są jednakże one aż nadto już znanymi, i nie myślimy tu powtarzać historyi wielu szlachetnych lecz bezowocnych usiłowań, w których zmarnowało się niemało najżywotniejszych sił społeczeństwa naszego. Przed niedawnemi czasy zagrzmiała głosem wielkim trąba projektomanii, olbrzymia masa projektów i projekcików, myśli i myślątek zapukała do krainy czynu. Rzucono się z gorączką do ich urzeczywistnienia. Wkrótce jednakże zagasł pierwszy płomień zapału. Jedną z głównych przyczyn tego faktu jest wprawdzie ogólna i znana wada naszego organizmu duchowego. Lecz zarazem i niepraktyczność myśli i czynu przyłożyły się tu nie mało do zniechęcenia i osłabienia pierwszych silnych popędów działalności i reformy.

Szczególniej młodziutka prowincya nasza silnie dotkniętą została tą słabością. Interesujący fakt w tym względzie zaznaczył „Tydzień.“ Donosi on, że w ciągu dwóch lat ubiegłych na arenie życia społecznego w Piotrkowie, zabłysło aż 18 projektów, z których w sferze czynu unieśmiertelnił się *jeden* tylko. Reszta okazała się jako szlachetne *pia desideria* lub też wobec rozproszenia sił a w części i zobojętnienia ogółu, daremnie starała się przyoblec w szatę czynu.

Panowie publicyści winni mieć to na względzie że pragnąc wpłynąć należycie na działalność społeczną, pragnąc skierować ją na drogę gruntownej systematycznej reformy i postępu, nie należy bujać myślą w krainie abstrakcyjnych mrzonek, lub zstąpiwszy w sferę potrzeb rzeczywistych, podchwytywać je w sposób dowolny. Pragnąc kierować odbudowaniem wielkiego gmachu, nie dosyć jest bez ładu i składu wskazywać do naprawy dobre cegiełki.—Trzeba objąć myślą budowę całą, i zacząć pracę systematyczną i gruntowną, nie od szczytu, lub środka, ale od podstaw społecznych. Tego tylko rodzaju praca i reforma może przynieść należyte owoce w przyszłości; tą tylko drogą piśmiennictwo nasze spełni należycie swój obowiązek w kierowaniu czynnem na arenie życia społecznego w imię świętych praw postępu, odrodzenia i dobra ogólnego.

U OGNISKA.

Poczciwi zaściankowce zawitali do naszego grodu—hotele przepełnione są gośćmi z partykularza. Spotykasz obecnie na naszym niegodziwym bruku figury z ruchem zamaszystym, z obliczem ogorzałem z imponującym i sumiastym wąsem i mówisz sobie — to szlachcic, przybyły na Ś-to Jański jarmark wełniany. W teatrach, w cyrku, restauracyach pełno tych przybyszów, których Warszawa zawsze przyjmuje serdecznie. Wełniarzom tym przecież w roku bieżącym nie idą interesa tak, jakby powinny—kupcy zagraniczni, ba i miejscowi postanowili sobie z nich najwyraźniej coś wyzyskać przy tem żniwie baraniem. Ceny wełny spadły od 2 do 7 talarów na centnarze, w skutek owej przemysłowej spekulacyi, której przecież w żadnym razie nazwać godziwą nie można. Za centnar wełny *wysoko cienkiej* płacono 105—115 talarów, za *cienką* 85—100 tal., za *średnio cienką* 70—80, za *średnią* 65—70, za *ordynaryjną* 55—60 talarów. Kapitał jak zwykle chce samowolnie swe prawa narzucać producentom rolnym, — i ociąga się z zakupem. Cała ta procedura pozyskała w bieżącej chwili nazwę *tendencyi* przedstawiającej się nam przynajmniej, ze strony najzupełniej szpetnej. W obec takiego stanu rzeczy, wypadałoby obywatelom zjednoczyć się, oprzeć wyzyskiwaczom; dla nie jednego z nich zapewne pieniądz jest pożądanym, w banku wszakże w każdym razie można na wełnę otrzymać zaliczkę. Działanie jednozgodne dawałoby tu pewną szansę utrzymania cen wyższych. Stare przysłowie francuskie mówi *L' Union fait la force*, obywatele ziemcy nie powinniby o niem zapominać.

Oprócz jarmarku wełnianego mamy turniej hipiczny, wyścigi na hipodromie mokotowskim na którym zasłynął *Przedświt*, a dwa rumaki połamały sobie nogi. Wątpimy wielce czy wyścigi wpływają u nas na poprawę rasy koni przyjęliśmy je od Anglików wyrzucających krocie funtów szterlingów na to bawidełko, po prostu dla rozrywki, która już zrosła się z obyczajem synów Albionu. Francuzi nie mieli nic pilniejszego jak przyswoić sobie owe igrzyska a my dalejże naśladować cudzoziemców.—Niestety zawsze mucha będzie muchą a słoń słoniem. Nie mierzyć się Warszawie łokciem angielskim. Czyż opływamy w takim zbytku, aby pieniądz wyrzucać dla dogodzenia próżności? Czyż nie mamy potrzeb pilniejszych od zabawki? Czyż nie ważniejszą jest dla nas hodowla koni pociągowych—*koni do pracy*, a nie pegazów do niczego więcej niezdatnych, jak do gonitwy na popis? Niechby tam sobie rujnowali się Anglicy i Francuzi na

Mniej tylko słów pustych, a więcej doniosłych i praktycznych myśli, więcej znajomości nie tylko praw życia i rozwoju społecznego ale i miejscowbch potrzeb i warunków, a praca przy warsztacie myśli pójdzie szybko i z pożytkiem, bo nic tu nie przepadnie bez śladu i nie zapuka daremnie do krainy czynu. Tak systematyczna i gruntowna działalność, wykazująca palące potrzeby życia na zasadzie wybitnych faktów rzeczywistości, porwie do pracy i boju prawdziwych kapłanów czynu, obudzi energią i ufność w siły własne i zarazem wiarę w kierowników opinii ogółu.

A. P.

Korespondencya „Ogniska Domowego."

Ciechocinek, dnia 15-go czerwca.

Jesteśmy u najbardziej uczęszczanych wód minaralnych krajowych.

Minąwszy bogaty w historyczne wspomnienia Raciążek, widzimy obszerną płaszczyznę otoczoną dokoła na kilkadziesiąt stóp wysokiemi górami, piaszczystemi od południa, od zachodu zaś gliniastemi. Równina ta przerznięta modrą wstęgą Wisły, która płynąc od północno-wschodniej strony, jak dzisiaj na lewym swym brzegu Ciechocinek umieściła. Jak dzisiaj, ponieważ niegdyś, jak głoszą podania i jak to ze śladów dawnego koryta wnosić można, Ciechocinek znajdował się na przeciwnym to jest na prawym brzegu Wisły, podobnie jak Płock.

Jest to osada fabryczna stanowiąca własność rządową, ma ludność z około tysiąca osób, składających się z gospodarzy rolnych, właścicieli domów, oficyalistów i robotników pracujących przy wydobywaniu soli i przy źródłach.

Ktoby pomyślał że sól w Ciechocinku wydobywano jeszcze w XIII stuleciu. A jednak jest dokument świadczący o tem, iż w roku pańskim 1235, Książęta Mazowieccy, których stolica była wówczas we Włocławku, wypuścili Krzyżakom warzelnie soli, Słońsk zwane, (miejscowość znajdująca się pomiędzy miastami Nieszawą a Służewem, otoczoną lasami, mieszkańcy której, Słończykami zwani, trudnili się rozbojem). Warzelnie ówczesne składały się z dwóch panwi (patelac), a dzierżawcy takowych mieli obowiązek dostawiać dla dworu Książąt Mazowieckich we Włocławku dwadzieścia pięć beczek soli, biskupom krakowskim osiem, i dwie właścicielowi lasów, który dostarczał drzewo do gotowania solanki. Ale w owym czasie nikomu nie śniło się nawet o tem, że Ciechocińska solanka, jest zbawiennem w pewnych chorobach lekarstwem. Główną uwagę zwracano tutaj na eksploatacyą soli kuchennej, która w źródłach Ciechocińskich znajduje się w stosunku 2 do $4\frac{1}{2}$ %.

Co działo się z Ciechocinkiem po XIII wieku, o tem historya milczy, lub też nie zdarzyło nam się spotkać z wiadomością tego rodzaju. Dopiero za czasów Stanisława Augusta robił tu poszukiwania soli niejaki Reichert, a roku 1806 radca górniczy Małecki, odkrył pierwsze źródło słone za pomocą świdra i mino projekt założenienia tutaj warzelni. Trudno utrzymywać z pewnością, ale podania głoszą, że słynny naturalista Humbold zwiedzał Ciechocinsk i że założenie świdra na górach Raciążka, ma być jego pomysłem. Za czasów księztwa Warszawskiego ekonomia Raciążek dostała się marszałkowi Soult, lecz ten przywłaszczył sobie i sąsiedni Ciechocinek i solankę na beczki sprzedawał.

W r. 1827 książe Lubecki, minister skarbu ówczesny, otrzymawszy wiadomość o istnieniu źródeł słonych w Ciechocinku, chcąc krajowi zapewnić sól miejscowej produkcyi, wyjednał Najwyższe zezwolenie do nabycia tej miejscowości na rzecz skarbu i zajął się założeniem istniejącego dotąd zakładu soli.

Taka jest historya Ciechocinka jako zakładu przemysłowego. Dzisiaj widzimy tam potężne rury i maszyny ciągnące solankę, na stóp wysokie a po 500 łokci długie trzy tężnie widzimy zabudowania duże, w których mieszczą się warzelnie, zdumiewamy nad ogromnemi nakładami, jakie w to przedsiębiorstwo włożono. Nie sądzimy żeby się te nakłady opłacały, przy wolnym handlu solą kopalną warzonka nie może wytrzymać konkurencyi— wyrabiają jej też nie więcej jak w ilości czterdziestu tysięcy centnarów rocznie, to jest tyle tylko, aby otrzymać z tej fabrykacyi dostateczną ilość szlamu i ługu na sprzedaż jako środków leczniczych.

Od roku 1829 rozpoczynają się dzieje Ciechocinka, takiego jakim jest obecnie, to jest dzieje zakładu leczniczego. W owym czasie hrabina Plater kąpiąc się w solance wraz z dziećmi doznała znakomitej ulgi, a od tej pory coraz więcej chorych przybywało do Ciechocinka, wznosiły się domki i łazienki, każdy niemal rok przynosił jakie ulepszenie, a potem wybudowanie kolei żelaznej łączącej Ciechocinek z Warszawą, nie pozostało bez wpływu na rozwój i wzniesienie się zakładu. Ciekawa jest bardzo ta historya powolnego rozwoju; dla braku dostatecznego miejsca nakreślimy ją w szkicu ogólnym.

W 1836 roku, w oberży zbudowanej z gliny i słomy, urządzono cztery wanny miedziane, w następnym roku jeszcze cztery w samym zakładzie warzelni soli. Dopiero w r. 1844 na przedstawienie delegowanego do zwiedzenia Ciechocinka urzędnika, skarb państwa wyznaczył fundusz 12,000 rubli na wybudowanie łazienek. Założono ogród, wystawiono łazienki i galeryą przy źródle dla spaceru w czasie niepogody, zaczęto budować domki dla pomieszczenia chorych, znaleźli się i przedsiębiercy przybywający do Ciechocinka na lato z towarami, wybudowano hotel jeden, zaczęto budować drugi przy banhofie, a rok rocznie kilka tysięcy chorych przyjeżdża tutaj na kuracyę solanką.

Dzisiaj widzieliśmy fundamenty założone pod mający się budować kościół. Pawilon przy łazienkach, mający wanny porcelanowe ze schodkami, bardzo elegancko urządzone (oddane będą do użytku publicznego w drugim sezonie), przybudowano przy łazienkach okrągłą salę do czytania, a p. Aleksandrowicz dyrektor warszawskiego ogrodu pomologicznego zamierza zagaić świeżą zielenią Ciechocińskie piaski, które wraz z kurzem stanowią ujemną stronę Ciechocinka.

Dziś już przybyło tutaj 350 rodzin, razem około 800 osób. Przy źródle co rano grywa muzyka pana Platera z Warszawy, pod tężniami wieczorem zbiera się całe towarzystwo, oddychając prawdziwie nadmorskiem przesyconem solą powietrzem. Tutaj damy rozwijają całe zasoby tualet, a długie ogony sukien, wcale nie ustępują warszawskim. Mieszkań do wynajęcia jest jeszcze dosyć; teatr rozszerzają powiększając scenę; ma to przybyć towarzystwo pod dyrekcyą pana Krauzego.

Zebrań większych jeszcze nie ma dla braku młodzieży.

K.

---

fołbluty, co nam do tego. Jakąż korzyść odnosi gospodarstwo nasze z Izaury, Grand Daniela, lub Putyfary? Już to u nas dla szyku, mody, błyszczenia, efekciarstwa, popełniają się głupstewka bez liku. Pilniejsze i pożyteczniejsze sprawy kończą się najczęściej na przedysputowaniu ich w prasie.

Na bruki sarkamy wszyscy lecz niktnie podaje środka ich poprawy. Na asfaltowe chodniki krzyk wielki jako na niepraktyczne—a toż one w porównaniu z brukiem żelaznym są niewinniejszemi ofiarami potwarzy. Bruk żelazny nie ma w żadnym razie racyi bytu, nietylko jest nieużytecznym, gdyż wymaga częstych reparacyi, ale nadto szkodliwym, kaleczy bowiem nielitościwie nogi koniom. Z kratek tego bruku wiatr wymiata a deszcz wypłukuje zwir, pozostawiając próżnię zgubną dla czworonogów dorożkarskich.

Do pozytywnych instytucyi wprowadzonych obecnie w życie zaliczam przytułek dla paralityków i chorych nieuleczonych, który pomieszczonym został przy ulicy Nowomiejskiej w posesyi oznaczonej Nr. 12—będącej własnością p. Feliksa Sobańskiego. Za jego gorliwem staraniem stanął zakład, w którym znajduje dziś schronienie 25 osób, to jest 11 mężczyzn i 14 kobiet. Poświęcenie nowego lokalu (dawny bardzo szczupły istniał przy ulicy Chmielnej w domu pod Nr. 6) odbyło się w dniu 12 b. m. P. Sobański w cichem kole osób pojmujących miłosierdzie, znalazł gorące poparcie. Dość powiedzieć, że zakład ten ma dziś wraz z wartością inwentarza, przeszło 3000 rubli i dźwiga się własnemi siły, dzięki pomocy filantropów a w tej sprawie nie potrzebował odwoływać się do dobroczynności publicznej, czerpać zasiłek z koncertów i przedstawień scenicznych. Cześć ludziom dobrej woli!

Na szpital pragski, warszawianie złożyli chętnie grosz ofiarny.—Loterya fantowa urządzona w parku pragskim udała się przedziwnie w dniu 13 b. m; skorzystał z niej szpital i wybrańcy fortuny—a co się tyczy tych dla których ta pani okazała się niełaskawą ci pocieszyli się bezwątpienia myślą o spełnieniu dobrego uczynku.

„Tygodnik Ilustrowany" poruszył kwestyą wielce ważną. Na cały kraj mamy dotąd jeden tylko instytut głuchoniemych i ociemniałych, gdy tymczasem naliczyć moglibyśmy tysiące nieszczęśliwych, kwalifikujących się do pomieszczenia w podobnym zakładzie. Co począć? Niema żadnej wątpliwości, że potrzeba zakładać więcej tego rodzaju instytucyi, o co nie powinno być trudno w kraju którego mieszkańcy mają grosz zawsze na wycieczki zagranicę, na teatr, cyrki, wyścigi i przyjemnostki życia. Prowincya przesyła nam swe kaleki zamiast pomyśleć o ich losie — przesyła nam bez względu na to że tu brak miejsca i zakład dwieście zaledwie osób pomieścić może. A jednak Lublin, Płock, Piotrków, Radom, Łódź

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg)

Tacyan miał licznych bardzo uczniów i naśladowców, a w samej jego familii aż siedmiu, Vecellich zajmowało się malarstwem, choć jeden tylko synowiec jego, Marco Vecelli, dał się poznać zaszczytnie na tem polu. Najzdolniejszym z jego uczniów i naśladowców był Bonifazio, którego najlepszy obraz „Przekupnie wypędzeni ze świątyni przez Chrystusa" bardzo Tycyana przypomina. Obraz ten znajduje się w pałacu dożów.

Inny uczeń Tycyana i jego przeciwnik, gdyż jak utrzymują mistrz wypędził go ze swej pracowni, przewidując w nim niebezpiecznego współzawodnika, nazywał się Jacopo Robusti. Młody Jacopo był synem farbiarza i stąd z rzemiosła ojca dostał mu się przydomek Tintoretto pod którym w dziejach sztuki jest znany. Wyznaję otwarcie, że malarz ten uznany przez świat cały znawców za znakomitego, na mnie bardzo słabe zrobił wrażenie. Rzeczywiście muszę mu oddać sprawiedliwość, że nadzwyczaj umiejętnie umie utrzymać ruch w swoich obrazach, ma dużo powietrza i wielki talent w grupowaniu, ale ekspresya jego jest słaba i koloryt ciemny najczęściej zaniedbany, choć dziwna rzecz, że taki krytyk jak Blanc właśnie koloryt w nim sławi.

W Wenecyi obrazów Tintoretta jest ilość niezmierna, gdyż malował z nadzwyczajną szybkością z czem niezmiernie przechwalać się lubił. Trzy jednak tylko dzieła swoje podpisał a mianowicie: „Cud S-go Marka" w akademii sztuk pięknych, w którym święty w obłokach pomieszczony, skinieniem uwalnia niewolnika na ziemi z więzów; w tym to obrazie znać wiele siły i ową charakterystyczną brawurę Tintoretta; dalej „Ukrzyżowanie Zbawiciela" w konfraterni S-go Rocha i w zakrystyi kościoła Santa Maria de la Salute. „Gody w Kanie Galilejskiej." Oprócz tych trzech wspomniałem już o największym z istniejących dotąd obrazów o „Raju" w pałacu Dożów odznaczającym się chyba tylko rozmiarami.

Tintoretto miał syna Dominika, który tak się przejął manierą ojca, że dziś obudwóch rozróżnić niepodobna i córkę Maryą znakomitą portrecistkę słynną z urody. Umarła ona bardzo młodo a ojciec miał tyle siły, że całą noc malował jej portret z martwego już ciała.

Drugie podanie o Tintorecie maluje ciekawie jego charakter. Dowiedział się on, że słynny Aretino szerzy o nim wieści, sławie jego ubliżające. Udając zupełną niewiadomość o tem, wybiera się do niego i prosi aby mu pozwolił zrobić swój portret, aby tak genialny człowiek, mógł być uwiecznionym dla potomności. Aretino zgodził się chętnie, gdyż pochlebiało to jego dumie i na dzień oznaczony, stawił się w pracowni Tintoretta. Kiedy już usiadł to pozowania ułożywszy twarz odpowiednio, Tintoretto chwyta olbrzymi pistolet i z odwiedzionym kurkiem zbliża się ku niemu. Przerażony Aretino zbladł okropnie, drżeć zaczął na całem ciele a choć chciał wołać o pomoc głos zamarł mu w piersi. Malarz tymczasem przyłożył mu pistolet do czoła, a gdy nieszczęśliwy myślał, że już nadeszła jego ostatnia godzina, odezwał się najspokojniej.

Chciałem pana zmierzyć, ale już obliczyłem, że trzymasz pan akurat 2½ razy długość tego pistoletu.

Mówią, że po tej lekcyi Aretino nigdy już nic złego o Tintorecie nie mówił?

Jacopo Robusti urodził się w roku 1512 umarł w roku 1594.

Po śmierci Tycyana i Tintoretta próżnia wielka została w rozwoju malarstwa w Wenecyi. Ludwik Dolce pisze w swoich rozmowach o malarstwie: „Lękam się bardzo, aby sztuka malarska u nas nie zaginęła zupełnie, gdyż nie widzę żadnego z naszych młodych ludzi, któremuby jaką taką przyszłość obiecywać można."

Ludwik Dolce nic jeszcze nie wiedział o Paolo Caliari przezwanym Veronese, który pod koniec życia Tycyana przybył do Wenecyi.

Paweł Werończyk, był synem rzeźbiarza i rzecz dziwna w pracowni swego ojca kształcił się na wzorach Alberta Dürer i Łukasza z Lejdy.

Następnie młody człowiek, widząc, że w Weronie niewiele artysta zarobić może wybrał się w drogę do Wenecyi. Zaczerpnąwszy w Wielkiem mieście trochę grosza, puścił się w podróż do Rzymu, skąd powróciwszy osiadł w Wenecyi na stałe i sławiony ogólnie opływając w dostatki żył szczęśliwie aż do roku 1588. Całem zadaniem tego znakomitego artysty jest rozwinąć jak największą wspaniałość w obrazie, wywołać efekt niezmierny bogactwem akcesorów i kolorytu. Wyraz ogólny, prawda historyczna nic a nic go nie obchodzą. Niech sobie basza siedzi koło Chrystusa, niech córki Daryusza przedstawiają się Aleksandrowi Macedońskiemu na tarasie weneckiego pałacu i w strojach weneckich a murzyn za niemi niesie małpę dla urozmaicenia obrazu, wreszcie Karol V z Franciszkiem I niech ucztują przy jednym stole z apostołami; co to może obchodzić artystę. On zrobił swoje, bo obraz jest arcydziełem przepychu i ornamentacyi, ma rysunek doskonały, koloryt najwspanialszy o jakim zamarzyć można, powietrze, światło wszędzie i świeżość, która do dziś dnia przechowała się tak, że największy profan nawet w rzeczach sztuki zdaleka obraz Veronesa od innych rozróżni. Co tam, że niepotrzebne osoby wkradły się do obrazu, że kostiumy są nieprawdziwe i że w niem prawdy historycznej nie ma. „Cieszmy się, że możemy oglądać tak piękne rzeczy, woła znakomity krytyk, nie mówiąc z Horacym: Non est hic locus i nie zajmując się przedmiotem obrazu." Najpiękniejsze co prawda płótna Veronesa znajdują się w Luwrze to jest: „Gody w Kanie Galilejskiej" i „Uczta u Szymona Celnika" i takież same „Gody w Kanie" w galeryi drezdeńskiej, ale i Wenecya posiada kilka jego arcydzieł. Można w nich podziwiać to wszystko co nam malarstwo uważane ze stanowiska dekoracyjnego przedstawić może. Jest to zbiór wszystkich cudów, jakie fantazya najobfitsza, najswobodniejsza i najlżejsza zarazem może rzucić na płótno, aby zająć, porwać i zachwycić oczy; są to wspaniałe promienie słoneczne oświecające jaskrawo! Tło niby wspaniałej dekoracyi, na którem porusza się wielka ilość postaci żywych i mówiących, zawsze pięknych, czy to poważnych, czy rozweselonych biesiadników, w kostiumach, których rozmaitości i wspaniałości nic nie wyrówna, oddanych z niesłychaną prawdą pod względem świetności ozdób, przy niesłychanym zbytku akcesoryi.

Weroneze nie lubił dawnej szkoły malarzy i ich kompozycyi religijnych. Utrzymywał on, że wszystkie obrazy świętych są tylko kopiami jedne z drugich. Na rysunkach opisanych przez Rodolfiego taki znajduje się przypisek mistrza. „Gdybym kiedykolwiek miał czas przedstawiłbym wspaniałą ucztę w prześlicznej sali, przy której zasiadałyby Matka Boska, Zbawiciel i święty Józef. Usługiwaliby im aniołowie w orszaku najliczniejszym i najwspanialszym jaki widzieć można, podając na złotych i srebrnych półmiskach doskonałe mięso i wyborne owoce. Inni aniołowie leliby im w kryształowe przezroczyste puchary najlepsze wina, kolorem ponętne, aby przez

---

et consortes, pojmować powinnyby obowiązki społeczne i radzić sobie w podobny sposób jak Warszawa. W mieście naszem gnieździ się wiele złego, ale o dobrem niezapominamy i jakoś szczęści się naszym dążnościom. Dlaczegóż miałoby być inaczej na naszym partykularzu? Powtarzamy popierając myśl „Tygodnika Ilustrowanego, że instytucye takie są konieczne i prowincyi o nich pomyśleć wypada.

Instytucya osad rolnych ma już zapewnione powodzenie—w Studzieńcu stanęło sześć domów murowanych, które stanowią pierwszą kolonię małoletnich przestępców. Urządzenie tego zakładu pod każdym względem wzorowe, zarząd pomyślał o wszystkiem.—Dyrektorem osady ma być podobno p. Zygmunt Zajewski, obecnie nauczyciel instytutu w Mokotowie. Ktoby to pomyślał, że pokaźna suma, 23,931 rsr. 74½ kop. będąca w posiadaniu towarzystwa powstała z dobrowolnych ofiar osób prywatnych, z odczytów, koncertów i przedstawień scenicznych. Kolonia w Studzieńcu jest wymownem świadectwem tego, jak wiele małemi środkami przy energii i wytrwałości zrobić można.

Notujemy fakt, na który policya lekarska ze względów hygienicznych, powinnaby zwrócić uwagę.—Na ulicy Browarnej i Leszczyńskiej, niektórzy właściciele domów powzięli ohydny pomysł wyzyskiwania najbiedniejszych warstw ludności. Oto po prostu wynajmują ludziom przybywającym do naszego miasta za zarobkiem, izby na strychu lub w suterenach, z których w każdej mieścić się musi trzydzieści lub czterdzieści osób. Wyobraź sobie czytelniku tych biedaków spoczywających w nocy na słomie w szeregu ściśniętym jak śledzie w beczce, w atmosferze nieznośnego zaduchu, a nie będziesz się dziwić że prawie corocznie z tych zaułków wychyla się śmierć blada—że są one rezerwoarem chorób zaraźliwych dla miasta.

Każda taka ofiara opłaca 5 kop. dziennie za nocleg gdyż w ciągu dnia pozostaje poza domem oddana pracy, czterdzieści zatem dziesiątków, przynosi litościwemu gospodarzowi 60 rs. *wyraźnie sześćdziesiąt rubli miesięcznie*, to jest w stosunku rocznym 720 rubli! Chryste Panie!—siedemset rubli z czubem za ciupę cuchnącą, ciemną, wilgotną, to nie do uwierzenia—a jednak fakt jest niezaprzeczonym. Ale broń Boże posądzić tych panów o brudny wyzysk, wszakże oni przychodzą w pomoc biedakom, pobierając od każdego z nich *tylko* 5 kopiejek dziennie komornego. Widocznie są to ludzie opatrznościowi, bez ich uprzejmej filantropii robotnicy nie mieliby dachu nad głową.

Uprzyjemniamy sobie chwile w tem życiu jak możemy. Świątynie Melpomeny ofiarują nam codziennie sporą wiązkę wrażeń, mniej lub więcej pociągających.

W Alhambrze i Eldorado gości prawie zawsze pełno, w Tivoli mniej nierównie. P. Trapszo najruchliwszy niewątpliwie z trzech dyrektorów trup ogródkowych zapoznaje nas z nowościami w każdym tygodniu. Z tych widzieliśmy dotąd w Alhambrze: *Nerwowych*, komedyą pp. Sardou i Barière—*Syna Marnotrawnego*, obrazek p. Sygietyńskiego—i *Ostrożnie z ogniem*, (On ne badine pas avec l'amour), Musset'a. Toż to zbytek, na który przecież niemyślimy bynajmniej się skarżyć. *Nerwowi* jest to sobie farsa, której głównem zadaniem rozbudzać śmiech homeryczny w słuchaczach. Żywy dowcip, werwa i komizm splotły się w tej sztuce nie wytrzymującej zresztą poważnej analizy krytycznej. Zręczne sytuacye, wrzaskliwa akcya, szarza bez koń-

to wystawić gorliwość dusz błogosławionych w usłudze dla Boga.“ W innem znów miejscu mówi o tem, że chciałby odmalować Jezusa z Matką, około których aniołowie trzymają słońce, księżyc, gwiazdy, feniksa, strusia i t. d. gdy pod niemi ziemia pokryta jest owocem i kwieciem.

Co przedewszystkiem podziwiać potrzeba w Weronezie to tę swobodę imaginacyi, która widać, że go nic nie kosztuje, jak i niesłychaną lekkość pędzla przy całej staranności rysunku.

W Wenecyi najznakomitsze dzieła Weroneza są: 1) Uczta u Lewiego dziś w akademii sztuk pięknych znajdująca się; 2) Uczta u Szymona celnika w kościele świętego Sebestyana (drugi egzemplarz z Luwru) i 3) Obraz z sali pałacu dożów del Collegio. Ostatni jest najznakomitszem z dzieł mistrza w Wenecyi. Zbawiciel otoczony alegorycznemi postaciami Wiary, Wenecyi i w towarzystwie świętej Justyny, błogosławi doży Vernieremu zwycięzcy z pod Lepantu, któremu aniołowie, palmę, godło tryumfu, składają w darze.

(*D. c. n.*)

O ESTETYCE

Codziennego Życia.

Czem jest życie bez estetyki! czemże człowiek bez poczucia piękna bez tego podniosłego instynktu co istotę ludzką wznosi ponad poziom zmysłowości zwierzęcej, co daje najwiarogodniejsze świadectwo o istnieniu duszy. Albowiem nie rozumem, nie zmysłami odczuwamy estetykę we wszech-stworzeniu, dusza to nasza wyrywa się z więzów zmysłowych, tęskni za pięknem, szuka piękna i usiłuje je tworzyć w około siebie.

Zwierzęciu wystarcza to co ciału dogadza, człowiekowi potrzeba czegoś więcej, potrzeba by to co go otacza, co życie jego stanowi, zadowolić zdołało ducha; im zaś bardziej ten duch jest wzniosły i czysty, tem silniej domaga się o swoje prawa, tym więcej pragnie harmonii a wstrętną mu jest wszelka potworność. Poczucie piękna wypływa z naszej duszy i jest jej własnością, to szczodry dar boży co nam uszlachetnia i zdobi życie. Lecz tak jak każdy dar boży człowiek powodując się materyalną stroną swojego jestestwa zapoznać i zdeptać może, tak też zbyt często i ten objaw duszy idzie na świętokradzką ofiarę materyi.

Jeżeli zamiłowanie piękna właściwem jest w ogólności wszystkim ludziom czystego serca, u kobiet jako subtelniejszych w uczuciach swoich, instynkt ten szczególniej jest rozwiniętym.

Od najpierwszych lat swojego życia dziecięcego—kobieta instynktowo szuka piękna i o ile tylko zdoła usiłuje je gromadzić w około siebie. Gdy zwrócimy uwagę na jej zabawę dziecięcą, dojrzymy z łatwością jak we wszystkiem co ją zajmuje przebija się pewne zamiłowanie harmonii, każda brzydota robi widocznie przykre na niej wrażenie, zabawki swoje chce mieć wdzięczne i miłe dla oka a symetrycznie ustawione i dziewczynka, jeżeli nie zepsuta złym przykładem, to wtedy już kiedy zaledwie żyć zaczyna widocznie objawia to wrodzone estetyczne usposobienie, ten naturalny pociąg ku wszystkiemu co piękne a nietylko pragnie je mieć w zewnętrznej formie tego co ją otacza, lecz znać jak w młodziutkiem jej serduszku świtać zaczyna promyk wielkiej myśli poświęcenia—zaparcia się siebie. Któż nie uważał, że najmilszą zabawą małej dzieweczki jest pielęgnowanie dziecięcia—lalki i naśladowanie pracy domowej; więc tuli i usypia niby płaczące dziecię, starannie uściela mu pościołkę, pielęgnuje niby w chorobie. Innym razem znowu bawi się przyrządzaniem niby posiłku dla wymarzonej rodziny, zastawia stolik wyproszonemi u matki łakociami. Lecz uważajmy tylko pilnie a widzieć będziemy, że tego wcale nie robi dla siebie; główna przyjemność jaką jej ten rodzaj zabawy przynosi, w tem się zawiera, ażeby komuś dogodzić, kogoś uraczyć. Cała zajęta, rozpromieniona krząta się jak mrówka, a instynktem odgaduje w czem leży największa rozkosz powołania kobiety, przeczuwa prawdziwą estetykę i bezwiednie łącząc ją z życiem praktycznem uzacnia trudy codziennego życia podnosząc je do ideału. Ktoś ktoby brać to chciał powierzchownie, powiedziałby może, że dzieweczka naśladuje w tem starszych, ale śledząc ją, widzieć będziemy rzeczy nie dające się naśladować: rumieniec rozpromienionej twarzyczki, błyszczącemyślą oczki, świadczą, że w małej dziecinie dusza się budzi i bierze udział w tej niby zabawie a pracy.

Tak to jest w zawiązku życia kobiety, wtedy kiedy jeszcze idzie ślepo za popędem swojej natury. Ale niestety nie zawsze w późniejszem życiu zachowa ona te skarby swojej duszy; zgubny przykład, fałszywy kierunek, zewnętrzne wpływy, wszystko to razem i z osobna składa się nieraz na to, by jej wydrzeć te przywileje ducha bożego, aby ją zepchnąć z drogi wskazanej powołaniem, po której iśćby mogła promienna aureolą namaszczenia.

Kobieta przeistoczyć zupełnie swojej natury nie może, więc pociąga ją wszystko co powabne dla oka, ale ulegając wpływowi ogólnego materyalizmu smak swój zepsuła i naturalne piękno lekceważy, a ukochała sztuczne; dla wewnętrznego zadowolenia potrzeba więc jej dzisiaj świetnej toalety, paradnych sprzętów, eleganckiego otoczenia i tysiąca innych świecideł, których za pieniądze komuż nie dostarczą magazyny mód, tapicery i t. p. Któż nie potrafi ubrać się strojnie, zasiąść w kosztownie i pięknie umeblowanym salonie i pozować na efekt? ale człowiek z wyższą myślą nie da się oszukać tym blichtrem i na samym progu odgadnie, że to marny szych, że to kupione naśladowanie tylko. Ażeby stworzyć piękno prawdziwe i napełnić niem swoje otoczenie potrzeba na to natchnienia bożego, którego żadne ziemskie skarby nie dadzą; bo piękno widzialne prawdziwem pięknem jest wtedy dopiero, gdy się rodzi z myśli podniosłej. Sztuczne można chwilę podziwiać, prawdziwe piękno nieskończenie uwielbiać potrzeba nigdy się z niem oswoić, nigdy ono przesycić nie może.

Na to, ażeby dom tchnął całym urokiem estetycznego piękna nie trzeba wcale przepychu, ale potrzeba ażeby kobieta co tym domem kieruje była umysłem i sercem bogata, by stała wyżej nad próżności wszelkie a cele jej były powagi i miłości pełne. Taka, pógardzi błyskotką, lecz i w najskromniejszem otoczeniu potrafi zachować tę uroczą harmonią, która porywa i zachwyca.

Kierunek dzisiejszego rozwoju umysłowego kobiet naszych sprawia, że rwą się do życia publicznego, w niem domagają się pola dla działalności, dla polotu myśli swojej, uważające życie domowe za zbyt poziome na to. Ogólnemu materyalnemu nastrojowi przypisać należy, że rzadko już kobieta dzisiejsza źródło estetyki znajdzie we własnej duszy, a nie zdając sobie rachunku ze swego ubóstwa w tej mierze szuka zewnętrznych pomocniczych środków, by zadowolić naturalny pociąg ku pięknu; gardzi życiem prywatnem, światem domowym, w którym nic nad marną prozę życia nie widzi, a to dlatego, że nic wyższego w nim stworzyć nie potrafi. I tym sposobem zrzeka się jednego z najważniejszych czynników do wpływów olbrzymich, jakie ze stanowiska swego na społeczeństwo wywierać może.

---

ca, owóż i wszystko. W ciągu całych trzech aktów, nie dopatrzysz okruszyny głębszej myśli, nie znajdziesz źdźbła prawdy psychologicznej, o co się zresztą widocznie nie kusili autorowie. Chodziło im poprostu o ośmieszenie drażliwości naszych nerwów, wyłącznie też tylko nerwy grają na scenie. W narysowaniu figur nie troskano się wcale o typy charakterystyczne, myśl, uczucie, namiętności. Artyści wywiązali się ze swych zadań przedziwnie—p. Morozowicz w roli Tyburcyusza, głupkowatego urzędnika poczty, polującego na posag córki p. Marteau, był nieporównanym; p. Siennicki przedstawił doskonale zdenerwowanego złośnika=p. Bystrzyński z werwą i swobodą oddał rolę Cezara—publiczność śmiała się serdecznie—czegóż więcej do sukcesu potrzeba?

Sztukę p. Sygietyńskiego: *Syn Marnotrawny*, mógłbym nazwać kontrastem *Nerwowych*, ile w pierwszej komedyi żywości, tyle w drugiej nudów—oklepane tyrady, zużyte morały, sentencyonalna gadanina—oto żywioły, tej sztuki, pozbawionej całkiem akcyi, rozwałkowane aż na pięć długich aktów — autor wybrał przedmiot przestarzały i karmił publiczność komunałami, których nie zbawiła od *fiaska* zacna zresztą tendencya utworu. *Syn Marnotrawny* nie ma żadnego prawa bytu na scenie. Jedyną postacią dobrze tu narysowaną jest Jankiel, odwzorowany przedziwnie przez pana Trapszę, figurę tę wszakże czerpnął autor widocznie z *Żydów* Korzeniowskiego. Podobno p. Sygietyński przez lat piętnaście chował, ten płód artystyczny w ukryciu—było to bardzo roztropnem i żałować przychodzi, że nie uzbroił się w dłuższą cierpliwość. Najprostsza refleksya wzbroniłaby mu z pewnością, produkować się z tym poronionym płodem myśli.

Winszuję szczerze p. Trapszy, że zapoznał nas z komedyą Musset'a: *Ostrożnie z ogniem.* Jest to prawdziwe cacko, małe arcydzieło, czerpnięte wprost z życia, przedstawione z prawdą, ubarwione wdziękiem iście poetyckim. Żywa akcya, mistrzowski układ sceniczny, naturalne wydobywanie efektów, liryzm daleki od sentymentalizmu a jednak głęboki, wzruszający—oto żywioły tej prześlicznej sztuki francuskiego poety. Jest to komedya wyższego pokroju—obraz wyjęty z czasów smutnej pamięci Ludwika XV, z epoki scyptycyzmu, wieczna fotografia owoczesnych obyczajów. Musset szkicuje ją z właściwym mu talentem, wskazując bolesnym epizodem z życia, do czego prowadzi igraszka z uczuciem—pani Siennicka i p. Bystrzyński odegrali swe role sumiennie chociaż były one nad ich siły. W rzeczy samej do ich otworzenia potrzeba niepospolitego talentu—dyalog tu powinien tryskać żywy, bez przerw w dykcyi, nie zaś pcsiłkować się suflerem, jak to niestety gdzie niegdzie miało miejsce.—Zaznaczając to, wyznać wszakże muszę, że wogóle sztuka wyszła wcale nieźle w Alhambrze—p. Trapszo wyprawił nam ucztę sutą, jeżeli nie królewską, to w każdym razie przepyszną.

Nie schodząc z pola sztuki artystycznej winienem podzielić się z tobą czytelniku nowinami z dziedziny malarstwa.—Matejko wykończył już podobno całkiem nowy obraz treści historycznej: *Śmierć Przemysława*; Abramowicz przedstawił: *Ucztę Wierzynka*, a Śmigielski: *Śmierć hetmana Żółkiewskiego pod Cecorą.*—Ostatniemu temu utworowi znawcy oddają wielkie pochwały—*Satis.*

Tylko kobieta z rozwiniętem serce i wykształceniem umysłowem może połączyć warunki codziennego życia z gustem estetycznym i wszystko też w jej domu, zacząwszy od głównego salonu do najpospolitszego gospodarczego zakątka tchnąć będzie harmonią i porządkiem, a to z takim uroczym chociaż prostym wdziękiem, że każdy wszedłszy tam poczuje się jakby podniesionym i usposobionym do tego, ażeby i czuł i myślał jakoś serdeczniej a głębiej. Tak jak wiele innych prac ludzkich tak i prace około potrzeb codziennego życia mogą być rzemiosłem lub sztuką, stosownie do tego o ile w nich dusza udział bierze. Weźmy naprzykład wydział kuchenny; niewątpliwie jest to jedna z prac bardziej poziomych i gdy zajrzymy do kuchni w chwili, kiedy tam najemny kucharz lub prosta kucharka pracuje, napróżno szukalibyśmy czegoś, coby mogło zająć wzrok naszej duszy, coby serce lub myśl obudzić zdołało. Bez ładu porozrzucane naczynia, pewien chaos, zakręt, wszystko to połączone z zapachem różnorodnych potraw robi niemiłe wrażenie i uwidomia istotną prozę życia. Ale jakże inaczej to wszystko wygląda wtedy, kiedy tam sama gospodyni domu, kochająca żona, troskliwa matka, kobieta z wyższą myślą i poczuciem piękna krząta się a pracuje, powodowana potrzebą serca aby ukochanym swoim dogodzić, potrzeby ich życia i zdrowia zaspokoić.

Zaprawdę obrazek to będzie acz prosty tak pełen życia i powabu, że warto, byśmy na niego dłużej popatrzyli chwilę. Owa kuchnia, miejsce, do którego nie jedna z elegantek dzisiejszych nawet na próg wejść się wzbrania uważając, że samo znajdowanie się tam poniży jej godność osobistą, pod wpływem niepospolitej kobiety przybierze inny pozór, inny charakter a całość uderzy nas tą wdzięczną prostotą prawdy ludzkiego życia, którą malarze szkoły flamandzkiej tak cudnie wyidealizować potrafili.

Ta wytworna czystość, ten ład i porządek w ustawieniu potrzebnych sprzętów odrazu przekona, że gospodyni nie same potrzeby materyalne miała na celu, lecz wtedy kiedy się urządzeniem tego zajmowała, jej poczucie piękna o swoje prawa również się domagało. Każde najprostsze naczynie, o ile można kształtne formą nie psuje harmonii i nie sprzeciwia się prawidłom estetyki, bo jest na swojem miejscu, wynika z potrzeby i odpowiada naturze całości, której cząstkę stanowi. Wśród tego wdzięcznego otoczenia postać samejże kobiety gospodyni promienieć się zdaje światłem harmonii bijącej zewsząd; strój jej szykowny a staranny choć skromny i zastosowany do rodzaju pracy, która ją w tej chwili zajmuje, ruchy spokojne a zdradzające nawyknienie dobrego smaku, wyraz jej twarzy pogody i myśli pełen; na pozór marną zajęta robotą, ale ją ożywia i podnosi cel zadowolnienia ukochanej rodziny. Ona zna najlepiej upodobania wszystkich swoich, wie co komu przyjemność zrobi, co komu zaszkodzićby mogło, więc nie zdaje tego na ręce bezmyślnej sługi, sama o wszystko troskiwa, sama wszystkiego dogląda a w oczach jej błyszczy miłość spokojna ale głęboka. To też nic dziwnego, że kiedy wesoła domowa drużyna zasiądzie potem przy stole do obiadu pod takim kierunkiem przyrządzonego, że i jedzenie im smakuje, siły się pokrzepią a serca ogrzeją ciepłem serdecznem, którem tchnie dusza tego uwidomionego anioła opieki, co czuwa nad niemi, o każdym pamięta, każdego troskliwością otoczy. Więc wśród swobodnej i szczerej gawędki każdy radby podzielić się z drugiemi smaczniejszym kąskiem, który mu się dostał w podziale, a co tam wesela i życia przy tej prawdziwej uczcie domowej posilającej i ciało i duszę zarazem! I wszyscy powstając od niej pomyślą sobie, że wszędzie być może dobrze, ale najlepiej pomiędzy swymi, wśród rodzinnego koła, które miłość jednoczy i ożywia, opieką osłania a od przykrości życia chroni.

Taka kobieta jak ta, którą przed chwilą przedstawiliśmy ukazując czytelnikowi jeden z epizodów jej prac i życia codziennego, nic nie zaniedba, nic nie opuści, ażeby dom swój w ten sposób urządzić, by domownikom nietylko wygodnie ale i miło w nim było. Więc ozdobi go tą wytwornością estetycznego piękna stokroć świetniejszą nad złoto i gobeliny, a którą podziwiać nieraz się zdarzy nawet w ubożuchnem mieszkaniu. Na to bowiem ażeby smak estetyczny zadowolić i duszę podnieść niewiele potrzeba; schludny sprzęt choć prosty ale z pewną symetryą ustawiony, czystość i porządek, bieluchne firanki u okien, trochę kwiatków już wystarczy by miłe wrażenie sprawić, a serce błogo uspokoić mogło.

Gospodyni domu, żona i matka rodziny a kobieta z wyższym poglądem i duchowem pojęciem swojego stanowiska, rozumie dobrze jak wiele urządzenie domu oddziaływa na usposobienie jego mieszkańców, więc w stosunku do środków materyalnych, jakiemi rozporządzać może, dom ten urządzi miluchno i wdzięcznie. Tam więc co krok napotkasz te miłe, przytulne zakątki, jakby wywiązujące do wygodnego posiedzenia, do poufnej gawędki, sprzęty ustawione w ten sposób, by jak najgromadniejsze kółko osób mogło się razem pomieścić i łącznie się bawić. Nie będzie tam jak to gdzieindziej bywa tego mnóstwa bezcelowych fraszek, nie mogących usprawiedliwić swojej obecności, ani smakiem artystycznym, ani potrzebą, a któremi pospolite kobiety tak lubią się otaczać, lecz każdy najdrobniejszy sprzęt łączyć będzie pożytek z estetyczną formą zewnętrzną. Któż niedoświadczył jak bardzo światło wpływa na nasze wewnętrzne usposobienie; baczna na wszystko pani tego małego światka i o tem nie zapomni: więc w jej mieszkaniu nie znajdziesz tych pół-cieni usposabiających do ponurej zadumy, do zamknięcia się w sobie; oświetlenie tam będzie naturalne, pełne, rozweselające umysł i uspokajające nerwy, a całość tchnie pokojem i nieokreślonym urokiem.

Stąd wynik naturalny, że choć ulice miasta wrą i huczą życiem i wirem, kluby, restauracye i cukiernie roją się tłumem hulaszczym a rzęsiście oświetlone okna mieszkań prywatnych wzywają na wesołe rauty, gromadne zebrania, to jednak członkowie domu, jakiego wzór daliśmy, nie dadzą się znęcić dla innych niezwalczoną pokusą a każdy ukończywszy dzienną pozadomową pracę powraca co rychlej do domu stęskniony, by wytchnąć w rozkosznym spokoju, nabrać sił nowych a w serdecznej pogadance, z serca do serca płynącej podzielić się nagromadzoną myślą i ogrzać ciepłem serdecznem wśród zaciszy domowej gdzie umiano przechować promień piękna bożego.

Łatwo zrozumieć, że przy takich warunkach codziennego życia i usposobienie wewnętrzne domowych musi się do tego pełnego harmonii otoczenia stosować i każdy wcześnie przywyka, ażeby łączyć praktyczne życie z estetyką i wyższą myślą. Pod takim to wpływem wyrabiają się ludzie co umieją pozyskać własną pracą pewne a niezależne stanowisko w świecie niezacierając wszakże w sobie godności człowieka, bo pracę tę uważać będą nietylko jako środek zapewniający zyski materyalne i wygody osobiste, ale poświęcają się jej z miłością dla celów do jakich ona prowadzi.

Człowiek od najpierwszych lat swojego życia otoczony pięknem i harmonią rozwija w sobie stopniowo uczucia wyższe i spokój wewnętrzny, wzmacnia siły ducha a tłumi materyą, myśli jego idą wznioślejsoym torem, całą duszą odczuwa estetykę i bez niej życia pojąć nie potrafi. Tym sposobem nastrój piękna zastosowany w życiu codziennym olbrzymie wywiera wpływy na rozwój estetyki w całem społeczeństwie a właściwie on może głównie położyć tamę szerzącemu się powszechnie materyalizmowi, który słusznie tak przeraża tych co niechcąc stanąć w poczet rozumnych zwierząt pragną pozostać człowiekiem.

Wieś daje kobiecie szersze jeszcze pole do połączenia warunków codziennego życia z estetyką, do uwidomienia w niem piękna, którego pełny świat boży. Żyjąc w mieście z duszy naszej tylko snuć to piękno możemy zmuszeni bronić je bezprzestannie od sideł namiętności ludzkich, które ze wszech stron nastają na to by ducha ujarzmić i w niewolę materyi go podać. Co chwila czoło stawić musiemy ułudnym pokusom tak zdradnych pozorów, że na to ażeby niemi uwieść się nie dać potrzeba niewzruszonych zasad na bożej nauce opartych.

(Dokończenie nastąpi)

APTECZKA DOMOWA

opracował:

St. W. Łukowski,

IV.

Łój wołowy lub barani.

Z pomiędzy mnóstwa środków, bądź to aptecznych, bądź też domowych, używanych *zewnętrznie* w różnych *cierpieniach skóry*, żaden zaiste nie posiada tak rozległego zastosowania, nie przynosi tyle nieoszacowanych korzyści i nie jest tak łatwym do nabycia oraz tanim dla każdego, jak—*świeżo stopiony łój wołowy lub barani.* Ochrania on bowiem powierzchnię naszego ciała lepiej, aniżeli wszelkie inne tłuszcze i oleje, od wpływu szkodliwych bodźców zewnętrznych i bywa nadzwyczaj pożytecznym: przy zapaleniach, wysypkach (szczególniej z ostremi wydzielinami), ranach, oparzeniach i odmrożeniach skóry; nadto, łój nadaje skórze miękkość i delikatność, przez co pomaga przy jej suchości i pękaniu. Wobec silnej gorączki, kiedy skóra jest suchą i rozpaloną, zwłaszcza w płonicy (scarlatina), połączonej ze zjawiskami drgawkowemi, nacieranie skóry łojem, sprawia choremu wielką ulgę, gdyż chłodzi skórę i uspokaja nadmierną drażliwość jej nerwów. Bardzo prawdopodobną jest także rzeczą, iż smarowanie łojem części wystawionych na zetknięcie z materyą zaraźliwą, zapobiega ich zarażeniu się. Słowem, łój stanowi tak szeroko rozpowszechniony środek leczniczy, że trudno byłoby się obejść bez niego, — i nie ma ani jednej części naszego ciała, dla której, w danym razie, nie okazałby się pożytecznym.

Już w pierwszych latach życia ludzkiego, w okresie niemowlęctwa, nastręcza się sposobność zastosowania łoju z korzyścią, najczęściej przy tak zwanej *wyprzałości* skóry w miejscach fałdzistych i głębokich, np. w górnej części bioder, przy odbycie, na szyi i ramionach, oraz za uszami. Wyprzałość ta, poprzedzona bywa zwykle zaczerwienieniem zaognionego miejsca skóry i wtedy już można jej zapobiedz przez częste i lekkie obmywanie zaczerwienionego miejsca zimną wodą, a następnie, przez smarowanie go stopionym łojem lub przykładanie doń gałganka pociągniętego takimże łojem. Przy utworzonej już wyprzałości, postępuje się w podobny sposób, z tą tylko różnicą, że miejsce wyprza-

łe należy częściej obmywać zimną wodą.

Przy owrzodzeniu pępka u noworodków, użycie łoju będzie takież same, jak opisane powyżej, lecz z zachowaniem jeszcze większej troskliwości co do częstego obmywania ropiejącego miejsca, gdyż zaniedbanie pod tym ostatnim względem, może spowodować przeniesienie posoki (zgniłej cieczy) do strumienia krwi (za pośrednictwem żyły pępkowej), i przez to, co nierzadkim bywa wypadkiem, sprowadzić śmierć wskutek posokowatego zakażenia krwi.

Dla kobiet karmiących, częste obmywanie brodawek piersiowych świeżą wodą i smarowanie ich łojem, bywa bardzo pożyteczne: zapobiega bowiem owrzodzeniu tychże brodawek i pomaga do usunięcia już powstałych owrzodzeń.

Wysypki skórne u dzieci, również przechodzą, i nawet bardzo szybko, od użycia świeżo stopionego łoju. Tutaj należą: *wysypka liszajowata*, pojawiająca się na policzkach ząbkujących dzieci, — ma ona postać małych guziczków umieszczonych albo oddzielnie, albo gromadkami obok siebie na zaognionej skórze; wskutek drapania lub tarcia, zamieniają się owe guziczki na małe pęcherzyki i pryszcze, wypełnione jasną czy też brunatną ropą, po pęknięciu których oraz wyschnięciu, tworzą się strupy. Łój pomaga także przy *pryszczycy* twarzy u ssawców; wysypka ta, mająca swe siedlisko na policzkach i czole dziecięcia, polega na tworzeniu się pęcherzyków wypełnionych żółtą, kleistą cieczą, umieszczonych oddzielnie lub gromadkami na zaczerwienionej (zaognionej) skórze. Pęcherzyki rzeczone, powiększając się później, łączą się i przy pękaniu wydzielają swą zawartość, która po wyschnięciu tworzy zielonawe strupy, podobne do mleka wyschłego przy ogniu. Z odpadnięciem tych strupów, widnieje na skórze zaczerwieniona, sucha lub wilgotna powierzchnia, która znika po zdarciu naskórka. Lecz często, zamiast wzmiankowanych dopiero co strupów, powstają nowe pęcherzyki, i wtedy wysypka rozszerza się jeszcze bardziej, niż poprzednio.

U ssawców i starszych dzieci, zjawia się niekiedy wysypka, gorsza daleko od wymienionych wyżej. Jest to tak zwany *ognipiór*. Rozpoczyna się on zwykle około ucha, rozszerza się po całej twarzy i dosięga często pokrytej włosami skóry na głowie. Wysypka ta, składa się z drobnych, ściśle umieszczonych obok siebie pęcherzyków, rozwijających się na zaczerwienionej skórze, i sprawiających mocne swędzenie; wskutek drapania, pęcherzyki owe pękają i wydzielają bardzo ostrą ciecz, która wysychając, tworzy cienkie, cienne, łuskowate strupki, — przy czem niekiedy, skóra pod temi ostatniemi ulega owrzodzeniu oraz powstaje zapalenie powiek i nabrzmienie gruczołów szyi. Oprócz twarzy, często zajętą bywa u dzieci różnemi wysypkami, także część głowy pokryta włosami. Wogóle, wysypki te znane są pod nazwą— *parchu*; pomiędzy niemi bywają prawdziwe i rzekome. Pierwsze, do których należą: *pleśń parcha* i *wyprysk postrzygający*, pochodzą z rozwoju pasożytnych grzybków w cebulkach włosów i dlatego są zaraźliwe. Rzekome parchy, przy których użycie łoju okazuje się bardzo pożytecznem, podobne są prawie do wysypek na twarzy i znamionują się rozwojem pęcherzyków, pryszczów, łuszczek i strupów, przeważnie na zaognionej skórze głowy.

Używając zewnętrznie łoju i zachowując największą możebnie czystość przy pomienionych wyżej wysypkach na twarzy i głowie, osiągniemy znaczne skrócenie długotrwałości choroby i uwolnimy dziecię od nieprzyjemnego swędzenia oraz palenia. Czystość chorej skóry, utrzymuje się najlepiej, za pomocą lekkiego zwilgocenia jej ciepłą wodą; nigdy zaś nie należy jej myć, ani wycierać—zimną lub gorącą wodą. Gdyby zaraz przy rozpoczynającej się suchości, stwardnieniu i zaczerwienieniu skóry, częściej i staranniej smarowano świeżo stopionym łojem miejsca podejrzane, wtedy można by nawet zapobiedz utworzeniu się wysypki lub przynajmniej ograniczyć jej rozmiar. Jeśli zaś wysypka zjawiła się już ze swemi łuszczkami albo strupami, to trzeba postępować w następujący sposób: najprzód rozmiękczyć osadzone na skórze strupy za pomocą ciepłej wody lub pary i zdjąć je delikatnie; potem maczać uwolnioną od nich zaczerwienioną, po większej części wilgotną skórę, za pośrednictwem gąbki czy też szmatki płóciennej nasyconej ciepłą wodą i smarować ją świeżo stopionym łojem. Należy to powtarzać kilka razy dziennie, albo przynajmniej, jak tylko zaczną się tworzyć nanowo strupy, gdyż łój, najlepszym jest środkiem do zagojenia skóry. Ponieważ podobne leczenie wymaga dużo kłopotów i niechętnie bywa wykonywane przez matki i piastunki, wysypka więc zazwyczaj bardzo się rozszerza; co zaś do lekarza, to w podobnych wypadkach cenionym bywa więcej taki, który owe miejscowe cierpienia leczy zupełnie nieprawidłowo, za pomocą tranu, środków przeczyszczających i t. p. Rozumie się, że daleko wygodniej jest dawać dziecięciu od czasu do czasu lekarstwa wewnętrzne, aniżeli cierpliwie i ostrożnie oczyszczać zajęte wysypką miejsca; lecz czy lekarstwa te są pożyteczniejsze,—to pytanie, na które nauka i praktyka lekarska, dawno już przeczeniem odpowiedziały.

Z ogromnej liczby chorób skórnych, różne formy i nazwy których, przyprowadzają prawie do rozpaczy młodych lekarzy, a przez starszych praktyków uważane są przeważnie za suche lub mokre liszaje, pochodzące z ostrości krwi, większa część daje się wyleczyć łojem. Spróbujemy opisać tu treściwie choroby skórne, przy których domowy ten środek, z wielką korzyścią może być używany.

(*d. c. n.*)

Z ZAGRANICY.

II.

Moltke.—Pobyt jego w Turcyi.—Kolizeum.—Scena i widowiska w Rzymie.—Wiktor Hugo.—Autobiografia.—Republique française.

W zeszłej kronice wspomnieliśmy o studyum Victora Tissot w *Revue de France*. Poznaliśmy tam kilka rysów życia berlińskiego. Ośmielę się do studyum tego powrócić, aby poznajomić was z wizerunkiem Moltke'go, narysowanym bardzo wdzięcznie, przez wspomnianego francuskiego pisarza.

Tissot w ten sposób zaczyna:

Moltke jest wysoki, chudy, przechylony naprzód. Klinga zużyła pochwę. Przygarbiona postać generała prostuje się na koniu. Wtedy zdaje się mieć lat trzydzieści. Twarz generała Moltke starannie zawsze wygolona, pokrytą jest tysiącem drobnych zmarszczek krzyżujących się ze sobą, jakby powycinanych ze snycerskiej roboty. Numizmatyczny jego profil przypomina z lekka twarz cezarową, nos wydatny znamionuje wolę, wytrwałość i odwagę. Usta wąskie posiadają wyraz głębokiej melancholii. Szczęka odznacza się mocną budową. Oczy ma czarne, świecące się, co twarzy nieco suchej Moltke'go nadaje charakter odmienny, wyróżniający go między tysiącem ludzi. Szyja chuda, jakby u sępa, obciśnięta jest kołnierzem, okręconym sznurem żelaznego krzyża. Jestto jedyna dekoracya jaką nosi Moltke na mundurze o czerwonym kołnierzu i srebrnych guzikach. Nie cierpi on cywilnego ubioru, który mu nadaje minę nauczyciela szkoły niedzielnej. Moltke bez munduru obejść się nie może, podobnie jak żółw bez skorupy swojej.

Jest on z pochodzenia Duńczykiem. Wcześnie osierocony, bez majątku, wychowany został kosztem rządu w szkole kadetów w Kopenhadze. Obdarzony przyjemną powierzchownością, jasnym włosem, rumianemi policzkami, zaliczony został do korpusu paziów króla duńskiego, nie gustował on jednak w lekkiem życiu dworskiem, biografowie jego opowiadają, że do małżeństwa swego nie znosił płci nadobnej.

Nie był on podówczas jeszcze, jak to dzisiaj widzimy, owym *milczkiem*; mimo to, był nad wiek swój poważnym, w obyczajach surowym, nie lubiącym blasków księżycowych, czas swój spędzał raczej na naukach, pochylony nad wielkiemi księgami. Na pamięć znał Plutarcha, Tacyta i Cezara. Obojętnym był dla kobiet, lecz widok armaty zapalał źrenicę młodzieńca, a dotknięcie pałasza przejmowało go drżeniem wewnętrznem.

Broń budziła w Moltke'm rozkosz niezwalczoną. Dlatego też szybko zamienił mundur pazia na uniform wojskowy. Wtedy też zawołał:

„Podobny byłem przedtem do dziewczyny; teraz nareszcie jestem mężczyzną".

Z wydłużaniem się galonów, rosła w Moltke'm ambicya; aby mieć więcej pola, udał się do Berlina. W 1835 roku powołany został do Konstantynopola dla zreorganizowania armii tureckiej. Po bitwie pod Nezib, Moltke opuścił sułtana, który pobity został, nie usłuchawszy rad dzielnego Duńczyka.

Listy prywatne przez Moltkego ze wschodu do siostry zamężnej z Anglikiem Burt, uchodzą za arcydzieło stylu. Opisowość w listach tych jest pełna porywającej prostoty. Odczytywano listy te w rodzinie, a miss Mary, młodsza siostra pana Burt, z wzruszonem sercem listy owe czytywała, marząc o dzielnym oficerze, który przebywał puszcze i pola bitwy na rumaku swoim niby romantyczny bohater. W 1839 po powrocie swoim Moltke zamieszkał na czas pewien u siostry swojej, gdzie miss Mary, szesnastoletnie dziewczę zdobyło serce surowego wojownika.

Moltke nie tyle jest genialnym dowódcą, ile nieposolitym organizatorem. Jest on roztropnym jak wąż a przezornym jak jeleń. Moltke przewiduje: na trzy lata przed wojną austryacką, przeczuł on Sadowę, a przed wojną francuską Reichshoffen. Wojenne jego operacye są operacyami wyrozumowanemi i odznaczają się ścisłością matematyczną. Wojny nie traktuje Moltke jako sztukę, ale raczej jako przemysł, na który otrzymał patent.

* * *

Pan V. S. Vaux, sekretarz królewskiego towarzystwa literackiego w Londynie odczytał na posiedzeniu przeszłego miesiąca zajmujący pamiętnik, dotyczący poszukiwań przedsięwziętych niedawno w Rzymie, w miejscu gdzie niegdyś odegrywały się krwawe tragedye gladyatorów, wobec licznie zebranej publiki, na Kolizeum. Celem tych poszukiwań było wyjaśnienie licznych kwestyi, dotyczących amfiteatru wspomnianego.

Prelegent pobieżnie wspomniał o pracach swoich poprzedników, o początku, przeznacze-

niu i konstrukcyi budowy. Następnie odczytał pan Vaux z pamiętnika swego rzecz o usiłowaniach z ostatnich czasów, uwieńczonych pomyślnym skutkiem, a poświęconych objaśnieniu ścisłemu, jakich właściwie maszyneryi używali Rzymianie dla wywołania efektów scenicznych, w walkach okrętów, przy polowaniu i innych widowiskach, urządzanych na owej obszernej arenie.

Dowiedziono obecnie najwyraźniej, powiada pan Vaux, że przestrzeń mieszcząca się w środku budowy, podzieloną była na wiele części murami i deskami pokrytych, na których odbywały się widowiska, mury te miały 21 stóp wysokości, a 6 stóp grubości; poszukiwania czyniono naturalnie do głębokości odpowiedniej.

Wyżłobienia pionowe w murach, które odkryto, najwyraźniej służyły do windowania z dołu na górę zwierząt dzikich i innych potrzebnych przedmiotów; sklepione nisze w liczbie osiemdziesięciu, tworzyły dość długie pokoje, i służyły jako pomieszczenie dla zwierząt. Słonie miały pokoje największe, także sklepione, znajdujące się pod kurytarzem, z każdej strony głównego pasażu, w południowo wschodniej stronie gmachu samego. Prócz tych sklepionych przestrzeni, były inne jeszcze podobne do tamtych, i w ten sam sposób budowane, to jest po obu stronach środkowego pasażu, służyły zaś niby doki do wyładowania statków.

Z poszukiwań przekonywamy się również, sądząc po konstrukcyi, że ówczesni budowniczowie umieli korzystać z przestrzeni. Pod głównym pasażem znaleziono obszerny kanał, który najwidoczniej służył do sprowadzenia znacznych mas wody; kanał ów zaopatrzony jest w żelazne kraty, tak aby woda nie zabierała ze sobą ważniejszych przedmiotów. Tuż pod balustradą otaczającą arenę, znajdował się szereg żelaznych muter, służących do podtrzymywania masztów, do których przymocowywano materyalne nakrycie, dla ochronienia widzów od deszczu i słońca, maszty te łączyły się z innemi masztami osadzonemi na szczytach murów zewnętrznych.

Prawdopodobnie niższa część masztów przed balustradą zaopatrzoną była siatką dla ochrony widzów siedzących w pierwszym rzędzie, przeciw możliwej napaści zwierząt puszczonych do areny. Cztery pasaże idące równolegle z jednego do drugiego końca amfiteatru, jak to zauważono w Rzymie i Kapui, służyły prawdopodobnie jako kanały do sprowadzania galar do walki wodnej, znaleziono także upusty do napuszczania wody.

Owe bitwy na wodzie odbywały się jak gdyby na rzece, nie zaś jak na jeziorze lub morzu. Wszystko tak zręcznie było urządzone, rozkład tak był umiejętny, że arenę zmieniano ze względną szybkością w kanały podobne do wyżej wspomnianych; podłoga składała się z licznych części; pojedyncze te części przymocowane były szrubami żelaznemi, których końce zakrzywione były haczykowato.

Z każdej strony głównego kanału widniały pewnego rodzaju mocne facyatki trójkątne, które służyły do podtrzymywania znacznego żórawia, mającego przyciągać statki. W głębi głównego kanału mieściła się podłoga, po której posuwano małe statki, zanim je puszczano na wodę.

Oto są w streszczeniu podane rezultaty ostatnich poszukiwań kolizejskiah, podług pamiętnika p. Vaux.

* * *

Był czas, kiedy nieżyjąca już obecnie małżonka W. Hugo, wydała dzieje żywota słynnego poety pod tytułem: „Victor Hugo, raconté par un temoin de sa vie“. Dziś występuje sam poeta z auto-biografią. Praca ta niezadługo się ukaże na widok publiczny i będzie zapewne zajmującą, jeśli tylko Hugo zdoła choć w części ustrzedz się frazeologicznej swej maniery, o czem wątpić się godzi... Wspomniane dzieło nazywać się ma: *Czyny i słowa*. Tomów będzie trzy z tytułami: Przed wygnaniem, Podczas wygnania i Po wygnaniu. Małą próbkę pracy tej odczytać można w jednym z numerów dziennika Gambetty: *Republique française*: „Człowiek, który w księgach tych życie swoje przed współczesnemi szeroko odsłania, popełnił wiele błędów. Zamierza on, jeśli mu Bóg czasu nie odmówi, przyczyny błędów opisać, pod tytułem: „Dzieje wewnętrznych rewolucyi uczciwego sumienia.“ Autor, jak to już raz wspomniał sam niegdyś, jest synem Wandejki, przyjaciołki pani Larochejaquelin i żołnierza z czasów rewolucyi i cesar stwa, przyjaciela Desaix'a, Jourdana i Józefa Bonaparte. Człowiek ten znosił skutki samotnego i skomplikowanego wychowania; wygnaniec republikainin luzował wygnańca kapłana. Zawsze żył w nim duch patryotyczny, który mieszka w każdym wygnańcu, był napoleonistą w 1813 r., burbonistą w 1814; podobnie jak wszyscy mężowie z początków bieżącego wieku, był on z kolei wszystkiem tem, czem sam wiek bieżący, był nielogicznym i krasomównym, legitymistą i wolteryaninem, duchem z literacką podstawą, liberalnym bonapartystą, omackiem idącym socyalistą za czasów restauracyi; dziwne to, a jednakże prawdziwe i uderzające odcienia. W dobrej wierze działał zawsze, usiłował pośród wszystkich tych mamideł zmienniczość swoję prostować, każde możliwe zbliżenie się do prawdy pociągało go, niektóre z nich prowadziły go na manowce. Cały ten szereg błędów, wobec których dodać należy, nigdy ani na krok się nie cofnął, pozostawiły ślady swe w jego dziełach; możnaby wpływ ich w tym lub innym rozdziale odnaleźć; przekonać on jednak potrafi, że we wszystkiem, co kiedykolwiek jako dziecię lub młodzieniec napisał, nie znajdzie nikt choćby wiersza jednego wymierzonego przeciw swobodzie. W duszy jego odbywała się walka między rojalizmem wpojonym weń przez katolickiego księdza a swobodą, zalecaną przez żołnierza republikańskiego: ta ostatnia zwyciężyła. W tem spoczywa *jedność* jego życia. Wszędzie usiłował on nadać swobodzie jej znaczenie wzniosłe. Swoboda bowiem jest w filozofii rozumem, w sztuce natchnieniem, w polityce prawem.“

Z.

ROZMAITOŚCI.

— Dyrekcya teatru lwowskiego przeszła znowu w inne ręce. Głównym kierownikiem w nowej dyrekcyi będzie o ile się zdaje pan **Jan Dobrzański.**

— Aeronauta **Donalson** cieszy się nadzieją, że wynalazł sposób kierowania balonem. Przekonywa o tem myśl jaką powziął, odbycia w ciągu 48 godzin podróży z Nowego-Jorku do Londynu.

— Dnia 15 czerwca r. b. odbyło się w Krakowie drugie doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności pod przewodnictwem hrabiego Alfreda Potockiego, jako zastępcy protektora. Posiedzenie to odbyte przy licznym udziale publiczności zagaił hr. Potocki, następnie przemawiał prezes Akademii Dr. Majer, poczem znów Dr. J. Szujski odczytał obszerne i ciekawe sprawozdanie z działalności Akademii. Na zakończenie posiedzenia hr, Stanisław Tarnowski odczytał pracę swoję „O pośmiertnych pismach kasztelana Wężyka“ która się ogólnie podobała Miejscowi i zamiejscowi członkowie Akademii zebrali się na to posiedzenie prawie w całym komplecie.

— Miast liczących więcej jak po sto tysięcy ludności jest w Europie ośmdziesiąt sześć, z tych między innemi: w Anglii 16. Francyi 8. Włoszech 8. Niemczech 7. Rosyi 5.

— Stosunkowe zaludnienie w Europie największe jest w Belgii, gdzie wypada 164,29 mieszkańców na kilometr kwadratowy, najmniejsze zaś w Rosyi, gdyż tylko 3,76 na tęże samą przestrzeń.

Przyrost ludzi wedle ścisłych i naukowych spostrzeżeń, ma miejsce wedle odmiennej progresyi w różnych miejscowościach i tąk w Norwegii przybywa rocznie w stosunku 1,80%, we Francyi zaś 0,47%. W Norwegii zatem dla podwojenia się ludności potrzeba trydzieści osiem lat, we Francyi zaś sto sześćdziesiąt lat. Gdyby przyrost pozostał niezmienym w dotychczasowych warunkach, to po upływie lat stu sześćdziesięciu we Francyi podwoiłaby się tylko ludność, a w Prusach powiększyłaby się w czwórnasób i dane statystyczne byłyby następne:

Francuzów 76 milionów.
Niemców 96 „
Rosyan 180 „
Anglików więcej nieco jak 100 milionów.

OD REDAKCYI.

Ognisko Domowe, wychodzić będzie w drugiem półroczu r. b. w tym samym zakresie i według tego samego programu jak dotychczas. Redakcya dołoży wszelkich starań, aby pismo rzeczone uczynić o ile można najpożyteczniejszem i dlatego ma zamiar wprowadzić pewne zmiany i ulepszenia, o których czytelnicy w czasie właściwym uwiadomieni zostaną. Nadto rozpoczniemy w pierwszych numerach przyszłego kwartału druk **powieści oryginalnej** obszerniejszych rozmiarów.

Cena prenumeraty wyrażoną jest na początku każdego numeru pod kliszą tytułową.

PP. prenumeratorowie życzący sobie odbierać nadal bez przerwy *Ognisko Domowe*, raczą pospieszyć z wniesieniem przedpłaty na kwartał trzeci roku bieżącego. Wszelkie korespondencye w tym względzie najlepiej nadsyłać *wprost* pod adresem Redakcyi t. j. do dnia 8 lipca r. b. pod *Nr. 8 przy ulicy Bielańskiej*, po tej zaś dacie pod *Nr. 12 przy rogu ulicy Ś-to-Jerskiej i Nowowiniarskiej.*

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 11 (23) Іюнья 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 38).

Debenham, obejrzawszy kościół wszedł do zniszczonego zamku w miejscu gdzie obwód zewnętrznego muru obronnego był zrównany z ziemią. Tu spotkał niespodziewanie pana Bowstead, a ten rad że mógł czynić honory w swojej posiadłości zaraz rozpoczął rozmowę. Stali teraz tuż pod cieniem wielkiej wieży, ciężkiej, kwadratowej budowli w stylu normandzkim ostatniego okresu. Wewnętrzny czworokąt, którego tylko mała część jeszcze istniała, był dodany zdaje się w późniejszym czasie, zachowując wielką wieżę jako rodzaj bramy wojskowej, i wcielając ją tym sposobem w nowe budowle, z niejaką szkodą dla symetryi architektonicznej, ale z wielką korzyścią dla malowniczości ogółu. Ten czworobok, którego trzy inne boki daleko w tył sięgały, składał się z galeryi i korytarzy, miał z każdej strony po dwa prostokątne bastyony i był jeszcze wzmocniony mniejszą wieżą na każdem skrzydle. Tylko ściana zewnętrzna tego czworoboku stała jeszcze po większej części a i ona nawet w wielu miejscach była rozwalona, okryta złotemi i ciemnemi mchami, i obrośnięta bluszczem. Delikatne zarysy gotyckich okien z kawałkiem szkła kolorowego sterczące gdzie niegdzie, wieże z których tylko zewnętrzna skorupa się ostała, kręcone schodki uwieszone w niedostępnych miejscach i nigdzie nie prowadzące, kominki ozdobione bogatemi rzeźbami i herbami, okazujące miejscowość dawnych wspaniałych sal nie posiadających już ani podłogi ani sufitu, kapitele bez kolumn, kolumny bez kapiteli, stosy gruzów, zczerniałe belki, krzewy różne, młode drzewka, długie trawy i zielska, oto co napełniało ten wewnętrzny czworobok, będący według wyrażenia pana Bowstead tylko materyałem na budowle.

— Czy pan co z tego użyłeś już na taki cel? zapytał Debenham poważnie.

— Nie, z tej strony nic odrzekł właściciel Benhampton, ale wybudowałem dwie doskonałe stodoły i kilka innych mniejszych budynków, ze szczątków muru opasującego. Jest to prawdziwa kopalnia kamieni, tylko, że łatwiej je obrobić.

Młody człowiek stłumił westchnienie.

— O ile mogę dojrzeć, powiedział oglądając się na około badawczem okiem, żadna część zamku nie jest mieszkalną?

— Nie powiesz pan tego, kiedy zobaczysz drugą stronę wieży, odrzekł p. Bowstead. Mamy tam kącik, nie bardzo może wesoły i nie bardzo wspaniały, ale mieszkalny. Sala przeznaczona dla służących, przedzielona na dwoje, służy nam za salon i za jadalny pokój, odwach jest naszą kuchnią i mamy jeszcze pokój strażnika i pokoje nad bramą. Dobrze się tam urządziliśmy, lepiej w każdym razie niż pułkownik Smithson, bo mieszkanie było w okropnym stanie, kiedy majątek kupiłem.

— Pułkownik Smithson? powtórzył Debenham dopytująco.

Drugi to już raz p. Bowstead wymówił to nazwisko a młody nasz znajomy nie wiedział kim był ten pułkownik Smithson i co miał wspólnego z dawnym majątkiem jego rodziny.

— Wszystko odnowiłem, ciągnął dalej p. Bowstead, a sztuki złota i srebra dźwięczały w jego kieszeniach, dałem nowe kominki, nowe okna, do dwóch pokoi dałem podłogi nowe, wszędzie nowe obicia i wszystko odmalowałem porządnie. Pułkownik o to nie dbał, ale ja nie chciałbym mieszkać w chlewie.

— Więc pan kupiłeś tę majętność od pułkownika Smithson? powiedział nagle Debenham; ale poprawiając się w tej chwili dodał z wdziękiem dobrego wychowania jaki mu był zwyczajnym.

— Przepraszam pana, te pytania mogą się wydawać niestosownemi, ale właśnie oglądałem nagrobki w kościele i nie mogę nie doznawać pewnej ciekawości...

— Nie ma o czem mówić, powiedział p. Bowstead, nie podobna nie być zaciekawionym na widok tak wspaniałego i starożytnego miejsca. Tak, kupiłem je od pułkownika Smithson, to jest kupiłem je po śmierci pułkownika Smithson, od jego spadkobierców. Byłto dziwak, całe życie przepędził w Indyach; u nikogo nie bywał, nie jeździł konno, nie polował, słowem nic z tego nie czynił co zwykle czynimy na wsi. Nie bywał nigdy w kościele, nie brał udziału w wyborach, nie czytał gazet, nie mógł znieść widoku kobiety, żadna spódniczka nie mogła się tu pokazać. Ludzie mówili, że był waryatem, ale to nie prawda. Był to dziwak, ale taki waryat jak pan i ja.

— Jakim sposobem został właścicielem tego miejsca? zapytał Debenham skrycie zniecierpliwiony gatatliwością swego towarzysza, ale znosząc ją przez wzgląd na wiadomości, jakie mógł wydobyć z niego.

— Jakim sposobem został właścicielem tego majątku?

— Tak.

— Przez kilka lat nim go kupił, trzymał go dzierżawą, zdaje mi się od dłużników, bo ostatni Lord był po uszy zadłużony i nie posiadał już ani morgi gruntu na własność. Kiedy umarł, wszystko poszło na licytacyą i pułkownik Smithson kupił to co ja po nim nabyłem to jest zamek i folwark, ale dużo złego tu narobił, dużo złego.

— Jakto?

— Swojem niedbalstwem, panie, niedbalstwem tylko. Tym sposobem wszystko jeszcze prędzej zniszczało. Wielka sala jadalna była jeszcze w zupełnie dobrym stanie, kiedy tu się sprowadził a także prawie cała strona północna czworobu, ale nic nie chciał robić, żeby budynek zachować. Oprócz tego kąta gdzie mieszkał i gdzie ja teraz mieszkam, nie wprawił ani dachówki, ani szyby, nie podparł muru i nigdy grosza nie wydał na ochronienie zamku od zniszczenia, codzień więc gorzej było, aż przyszło do stanu w jakim go pan widzi. Czas naturalnie dużo temu winien, ale nie tyle co deszcz, śnieg, wiatr i niedbalstwo.

— Zamek więc rzeczywiście ucierpiał więcej przez ostatnie siedemnaście lat, jak przez wiek cały, gdyby był starannie utrzymany powiedział młody człowiek z goryczą.

— Pułkownik Smithson kupił go jakoś w marcu, w tysiąc osiemsetnym czterdziestym trzecim a jesteśmy w tysiąc osiemsetnym sześćdziesiątym, mówił półgłosem p. Bowstead. Tak, to akurat siedemnaście lat. Pan jesteś niby obcy w tych stronach, a lepiej znasz te daty odemnie.

— Zapewne dlatego, że wychodzę z kościoła gdzie czytałem napis na... ostatniej tablicy, odpowiedział Debenham wahając się trochę.

Wyraz podejrzenia znikł jak cień z poczciwej twarzy pana Bowstead.

— Prawda, prawda, powiedział. Mówiłem panu, że go kupił po śmierci ostatniego Lorda a na tablicy stoi napisane, że umarł w listopadzie, czterdziestego trzeciego roku. Tak jest, panie, tak jest. Pułkownik go kupił temu lat siedemnaście i miesięcy cztery, a ja po nim w pięćdziesiątym szóstym, będzie cztery lata na święty Michał. Oto całe dzieje zamku Benhampton; dwa razy tylko zmienił właścicieli, od czasu wygaśnięcia dawnej rodziny, a ona go posiadała przez sześćset lat.

— I nikt tego imienia nie pozostaje już teraz jak mówiłeś pan? zapytał Debenham z udaną obojętnością.

— Nie, mówiłem że rodzina wygasła, ale imię jeszcze nie. Lady De Benham jeszcze żyje.

Młody człowiek nie mógł się wstrzymać od mimowolnego poruszenia; pierwszy raz słyszał jak matce nadano ten tytuł.

— Dożywotnia pensya była jej zapewniona na tych dobrach, powiedział właściciel Benhampton, i pobiera ją do dziś dnia.

— Od pana? zapytał z żywością Debenham.

— Nie, nie, te grunta do mnie wyłącznie należą; kupiłem je bez żadnego długu ani ciężaru. Nie, skromna pensyjka Lady De Benham wypłacana jest przez posiadacza gruntu tam w dolinie. Nic mi do tego i bardzo mnie to cieszy. Niech sobie pan wyobrazi, czterdzieści funtów na rok dla wdowy po Lordzie De Benham, jednym z najdawniejszych baronów w Anglii. Wstydziłbym się, gdyby taka nędzna suma musiała przez moje ręce przechodzić.

— To uczucie przynosi panu zaszczyt, panie Bowstead, powiedział młody człowiek głosem przytłumionym.

Gruby i uczciwy wieśniak tak mu się w tej chwili podobał, że byłby go chętnie uściskał, ciekawości, że musi bwć dobrym, kiedy o Lady De Benham mówił z takiem politowaniem, zresztą mienił ją tytułem jej się należącym, tytułem pierwszy raz usłyszanym przez jej syna i tak mile głaszczącym jego ucho. Byłby się może wstydził przyznać do tego, ale ta okoliczność, że p. Bowstead pierwszy tak nazwał jego matkę nadawała temu ostatniemu jakby szczególne prawo do jego względów.

Tymczasem właściciel Benhampton, bynajmniej się nie domyślając uczuć i myśli zajmujących serce i umysł młodego człowieka, spojrzał na niego ze zdziwieniem, i uważał może ten komplement za niestosowny.

— Mówiłeś pan właśnie o sali jadalnej, powiedział Debenham rozpoczynając znowu rozmowę. W którem miejscu się znajdowała?

— Tu gdzie to wielkie okno. Komin i wschodnia ściana są prawie w zupełnie dobrym stanie i zawiasy nawet wiszą przy drzwiach. Możebyś pan obszedł cały zamek.

Tego właśnie pragnął Debenham; poszedł więc za panem Bowstead, który był doskonałym przewodnikiem i wskazywał mu drogę.

Zaczęli od sali jadalnej, wspaniałej niegdyś a teraz nie mającej ani dachu, ani posadzki, otwartej na wszystkie wiatry niebieskie i o ścianach obrośniętych bluszczem i chwastami.

— Ta sala, mówił pan Bowstead miała sześćdziesiąt stóp długości i dwadzieścia cztery szerokości, i posiadała kiedyś loże dla muzyki nad drzwiami i sufit rzeźbiony i złocony nadzwyczajnej piękności.

Nad kominem w porównaniu mało zniszczonym, gdyż był z kamienia, młody człowiek poznał te same herby jakie sobie odrysował w kościele.

Przeszli następnie do kuchni, obszernej na trzydzieści stóp w kwadrat, ale pozbawionej dwóch ścian. Szczątki sklepienia i ogromny jakby jaskinia komin istniały jeszcze; ten go-

ściny komin, przy którym nie jeden wół został całkowicie upieczony za czasów przodków Debenhama.

— Oto komin! zawołał p. Bowstead, Takich już dzisiaj nie budujemy.

Debenham nachylił się żeby zajrzeć w roździawiony otwór, czarny i tajemniczy, jak wejście do kopalni węgla i zaledwie przepuszczający o czterdzieści stóp wyżej, promyczek światła.

Po kolei, przesuwając się przez trawy i zielska swobodnie rosnące i gruzy, obeszli cały czworobok, który oprócz muru zewnętrznego znajdującego się także w dosyć złym stanie nie zachował prawie żadnych śladów przeszłości, i chociaż jego przewodnik twierdził, że doskonale znał topografią miejscowości, utrzymując, że tu była zbrojownia, a tam odwach lub dziedziniec do grania w piłkę, Debenham czuł, że to były tylko domniemywania, cześciej nieuzasadnione, niż oparte na prawdziwych domysłach.

Powróciwszy drugą stroną do baszty, znalazł się nagle w części mieszkalnej; bluszcz został w kilku miejscach zdarty, żeby ustąpić miejsca drzwiom, i ganeczkowi pomalowanym na zielono, i szerokim nowoczesnym oknom, Białe róże wiły się naokoło ganeczka; w oknach było widać czerwone i białe firanki i doniczki z rezedą i lewkoniami, a zarosły zielskami dziedziniec przeistoczony został w gładką i świeżą murawę z klombami różnobarwnych kwiatów,

Debenham zatrzymał się; ten porządek, ta wesołość tworzyły szczególne przeciwieństwo z opuszczeniem i smutkiem innych części i niemiłe na nim robiły wrażenie.

Napróżno gościnny właściciel zapraszał go żeby wszedł i odpoczął, napróżno częstował go filiżanką herbaty albo szklanką domowego piwa; czuł że mu było niepodobieństwem jako gościowi przestąpić tego progu i kawałek obcego chleba połknąć pod tym dachem, że nie mógłby dłużej z udaną obojętnością i ciekawością mówić o tem miejscu i jego dziejach, ani udawać obcego. Serce jego było przepełnione i potrzebował przedewszystkiem samotności.

— Moje dziewczyny będą panu rade, nastawał pan Bowstead. Niech się pan da namówić. Nie jestem do tego przyzwyczajony, żeby nieznajomi tak się odwracali od mego domu.

Ale w tej chwili dźwięki znanej polki doszły jego uszów, odegranej nie w takt na starym rozstrojonym fortepianie. Wobraźnia przedstawiła mu panny Bowstead, rumiane, z czerwonemi rękami, a może rude i nadzwyczaj muzykalne. Odgłos ten był mu nieznośnym i odpowiedział niecierpliwie.

— Nie, nie, muszę odejść, mam niewiele czasu i długą drogę przed sobą. Bardzo panu dziękuję. Dobra noc.

I zdjąwszy kapelusz, odwrócił się i oddalił.

Opuściwszy ruiny tą samą drogą jaką przyszedł, nie spoglądał ani w lewo, ani w prawo posuwał się szybkim i pewnym krokiem, okazującym, że miał cel jasno określony; wszedł na cmentarz i udał się prosto do kościoła, gdzie, zdjąwszy na progu kapelusz, ukląkł na stopniach ołtarza, głowę ukrył w rękach i długo tak pozostał w kornej postawie.

Nareszcie wstał, wziął Nowy Testament leżący na jednej z ławek, zwrócił się znowu do ołtarza, przycisnął z uszanowaniem książkę do ust, i pocichu wymówił te słowa.

— Przysięgam, tak mi Boże dopomóż!..

Uroczysty ślub wykonał i wykonał go jak najuroczyściej, w obec prochów przodkow, wobec ich nagrobków spoglądających na niego ze wszystkich stron. Nie dziw więc, że gdy złożył Nowy Testament na swoje miejsce, i rzucił ostatnie spojrzenie na tablicę pod oknem północnem, czoło jego było poważniejsze i kroki wolniejsze niż wprzódy.

Opuścił kościół, zatopiony w myślach machinalnie nakrył głowę i poszedł ścieżką, dopóki nie doszedł do ogrodzonego pastwiska. Tam się zatrzymał i odwrócił. Słońce szybko zmierzało ku zachodowi, i cały zamek świetnie był oświetlony jego ostatniemi promieniami. Długo w tę stronę patrzał i gdy tak patrzał, na jego twarzy osiadł ten dziwny i surowy wyraz, jakby niezłomnego postanowienia, który niedługo miał się jej stać zwyczajnym.

— Przysiągłem! powiedział, nie zważając prawie, że mówił głośno. Przysiągłem i dotrzymam przysięgi za jaką bądź cenę!

Chwilę później, przeszkoczywszy ogrodzenie dążył szybkim krokiem ku Monmouth.

Tymczasem p. Bowstead zasiadłszy do herbaty, przy obficie zastawionym stole, rozmawiał o nieznajomym z córkami, trzema przystojnemi, wesołemi młodemi osobami, z których żadna nie była rudą, ani nie miała rąk czerwonych.

— Nigdy nie spotkałem młodego człowieka tak niegrzecznego, mówił właściciel zamku Benhampton. Prosiłem go do siebie, ofiarowałem mu szklankę naszego piwa i zaledwie mi podziękował. Wykręcił się tylko i poszedł sobie jak gdyby mój dom nie był wart go przyjąć.

— Czy był młodym, papo? zapytała jedna z panien.

— Musi mieć dwadzieścia sześć albo osiem lat.

— I przystojny?

— Nie, podług moich wyobrażeń, panno Bello.

— Jestem pewna, że to był gentleman, powiedziała najmłodsza i najładniejsza z panien.

P. Bowstead zmarszczył czoło, potrząsł głową i ukroił sobie ogromny kawał pasztetu.

— Bynajmniej, moja kochana, bynajmniej, powiedział. Jakaś nieciekawa figura, podróżująca piechotą, może aktor, może malarz, albo literat; coś podobnego, zaręczam. Bynajmniej nie gentleman.

ROZDZIAŁ XXII.

Pieniądz zamiast sławy.

P. Archibald Blyth nie był przyjacielem rannego wstawania. Gdy znajdował się pod opieką swego towarzysza podróży, wstawał, chociaż niechętnie o szóstej, a nawet, w nadzwyczajnych okolicznościach o wpół do szóstej ale pozostawiony sobie samemu, spał snem sprawiedliwego do ósmej, dziewiątej nawet dziesiątej i to w najpiękniejszy poranek letni. Zdarzyło się więc, że o dziewiątej nazajutrz po wypadkach właśnie opisanych, kiedy cały świat w Chillingford ruszał się i krzątał, i za oknem ptaszki śpiewały szczęśliwe, kiedy słońce tak jasno świeciło, kiedy nawet p. Alleyne zatrudniony był zajadaniem swego pstrąga smażonego i zapijaniem kawy, Archibald Blyth został nagle wyrwanym z najpiękniejszych krain snów, ręką opierającą się na jego ramieniu, i głosem wołającym mu nad uchem.

— Zbudź się, powstań, lub bądź na zawsze potępiony. Czy ty wiesz człowieku, która to już godzina.

Arczy podniósł się w łóżku sapiąc i przecierając oczy.

— Co, Debenham! już z powrotem? wypowiedział z trudnością. Skądże przybywasz.

— Z Monmouth, gdzie nocowałem i śniadanie dziś jadłem o wpół do siódmej. Przepyszny miałem spacer. Nigdy nie widziałem takiej gry światła i kolorów.

— I zrobiłeś interes, za którym tam chodziłeś.

— Tak.

— Nie wiele ci czasu zabrał, w każdym razie, rzekł Arczy, patrząc ciągle na Debenhama.

Ten zaś surowo na niego spoglądał.

— Widzisz mój kochany, powiedział po chwili wahania, nie chcę być tajemniczym z tobą. Moja samotna wyprawa cię zdziwiła?

— Ogromnie.

— Nie dziw się dłużej. Poszedłem odwiedzić grób mego ojca, jest on pochowany niedaleko od Monmounth, ja tam nigdy nie byłem i trzy dni temu nie wiedziałem nawet gdzie spoczywają jego zwłoki. Wiesz już o wszystkiem, i wolałbym teraz, żebyśmy więcej tego przedmiotu nie dotykali.

Arczy zaręczył uroczyście co do siebie, że żadnej nigdy wzmianki o nim nie uczyni.

— A teraz, powiedział Debenham, chciałbym żebyś wstał i poszedł ze mną na spacer i na rozmowę. Mam ci pełno rzeczy do powiedzenia.

— Będę gotów za dziesięć minut, odrzekł Arczy wyłażąc z łóżka.

— Ale nie jadłeś śniadania?

— To nic nie znaczy, rzekł Arczy zanurzając twarz i głowę w wanienkę zimnej wody, wezmę kawałek chleba do kieszeni.

Debenham nie chciał jednak o tem słyszeć, pobiegł do kuchni i kazał przygotować śniadanie dla przyjaciela, a w pół godziny potem, razem się przechadzali nad rzeką.

— Widziałeś naturalnie pannę Alleyne? zapytał Arczy, widząc że Debenham nie rozpoczyna zwiastowanej rozmowy.

Debenham, nie patrząc na niego i zajęty jak się zdawało zupełnie innemi myślami, odpowiedział głosem roztargnionym, że przypuszczając iż p. Alleyne z córką byli przy śniadaniu, poszedł prosto do pokoju Aczy i nikogo nie widział.

— Prosili mnie wczoraj na herbatę, powiedział Arczy. To było grzecznie z ich strony, w twojej niebytności.

Zatrzymał się czekając na odpowiedź i żadnej nie otrzymując ciągnął dalej.

— Graliśmy dwa robry z dziadkiem. P. Alleyne grał z dziadkiem i wszystke wygrał.

— Doprawdy!

— Raz więc byłem partnerem panny Alleyne. Czyś zazdrosny?

Debenham lekko się uśmiechnął i wstrząsnął głową.

— O czemże mówiliście? zapytał.

— Zaraz... o tobie, najprzód.

— Tak? a cóż o mnie mówili? zapytał Debenham okazując trochę więcej ożywienia.

— Niech sobie przypomnę. P. Alleyne mówił, że doskonale umiesz rozmawiać, że mu przypomniałeś kogoś bardzo dowcipnego, zapomniałem kogo. Powiedział potem, że muzyka nie jest świetnym zawodem, kiedy idzie o pieniądze, naturalnie.

— Ma wielką słuszność, rzekł Debenham z goryczą. Jest to najnędzniejszy zawód! Co wicęcej mówił?

— Znajdował, że jesteś bardzo rozumny, ale...

— Ale co?

— Zdawało mu się, że jesteś niepraktycznym.

— Niepraktycznym? Impertynent! Na jakichże zasadach on, który mnie zna od dni dziesięciu, może opierać takie zdanie?

— Nie pytałem go się o to, powiedział Arczy sucho.

— A Julia, cóż mówiła? Czy błya jego zdania?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 (21) Іюня 1875 г.